

Dziś w numerze: ● **Niefortunny debiut aktora Urbańskiego** ● **Bawelna od Paderewskiego** ● **0 Festiwalu Poezji** ● **Kolumna Młodych** ● **Polska fabryka w Addis Abebie** ● **Recenzje** ● **Felietony** ● **Polonica**

odgłosy



Nr 16. (430)
23. IV. 1967 r.
10 stron
Cena 1 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK X



ANDRZEJ MAKOWIECKI

KONCERT na SMIERĆ

*Kres głodu i znużenia, bólu i udreń!
Nawet Chrystus nie przeżył tej
drogi zraty
I tego szarpącego nie zaznał
rozdźwięku
Pomiędzy ludzką duszą a nieludzkim
światem*

*Ciała z obozów
Z miast rozstrzelanych
Ciała z powozem
Ciała z raną
Ciała zagłady
Ciała krzywdy
Przyjdą gromadą
Nie spoczną nigdy!*

(Psalm 144 z Oratorium Pamięć Zamordowanych w Oświęcimiu „Dies irae” — K. Pendereckiego).

1.

Muzyka jest piękna. Muzyka Ludwika van Beethovena jest przepiękna. Ktoś nawet powiedział, że ta

muzyka jest bezcenna. Ale jedno życie ludzkie jest więcej warte, niż wszystkie symfonie świata.

2.

Podczas jednej z pielgrzymek do Oświęcimia, inżynier Kazimierz Gwizdka, członek Klubu Oświeceniaków, były więzień numer 120164, opowiadał studentom PWSM w Łodzi o obozowych orkiestrach. Opowiadał o muzyce, która snuła się po obozie od wczesnego świtu do nocy, która przygrywała do pracy więźniom, i do obiadu — mordcom, która grała nawet wtedy — kiedy transporty Polaków, Rosjan i Węgrów, Cyganów i Żydów szły do kąpielni, i żeby nie było wątpliwości, że to naprawdę będzie kąpiel, ludzie dostawali kawałki mydła i

Dalszy ciąg na str. 3

JAN KOPROWSKI

KARTKI z podróży

(III)

Za zdrowie GRUZJI!

Wszystkie stolice świata leżą nad rzekami. Przez Tbilisi przepływa Kura, najdłuższa na Zakaukaziu rzeka, licząca 1515 kilometrów długości, która po gruzińsku nazywa się Mtkwari. Bierze ona początek w Turcji, obdaje la swoimi wodami Gruzję i Azerbejdżan, uchodząc do Morza Kaspijskiego w pobliżu Baku. Tbilisi, jedno z najstarszych miast na obszarach Związku Radzieckiego, jest stolicą Gruzji od VI wieku. Położone w kotlinie między górami, wśród drzew i ogrodów, w dzień pogodny pełne jest słońca i jasności. W taką właśnie porę przyjechaliśmy do tego miasta. Pozostawiamy paltu w hotelu i udajemy się na pierwszy spacer, „do figury”. Na ulicach, placach i bazarze pełno ludzi. Odnosi się wrażenie, że nikt tutaj nie pracuje, że wszyscy wylegli z domów, by wygrzewać się w słońcu, chodząc — tam i sam, rozmawiać, pić wino w gronie przyjaciół.

Aleja Szota Rustawelego, główna arteria miasta, skupia największą ilość przechodniów. U jej wylotu plac, a na nim, przed wejściem do stacji metra, piękny pomnik narodowego poety Gruzji — Szota Rustawelego. Nie bez pewnej dumy mówię gruzińskim pisarzom, że jego poemat „Witeź w tygrysięj skórze” przełożył na język polski mój łódzki kolega — Igor Sikirycki, który zresztą znany jest Gruzinom, jako że już kilkakrotnie był w Tbilisi, a ostatnio w 1966 r. na uroczystej sesji poświęconej życiu i dziełu gruzińskiego wieszczka. Jeszcze tego samego dnia nasi gospodarze opowiedzą nam anegdotę, związaną z tymi uroczystościami. Wśród wielu delegacji pisarzy zagranicznych, znalazła się również delegacja ukraińska z Kijowa, aby złożyć hołd Szota Rustawelemu. Kiedy po powrocie na Ukrainę, zapytywano ich, jak tam było w Gruzji, mieli odpowiedzieć: „Szota pill, szota jeli, Szota Rustaweli”.

Gruzini to ludzie pogodni, rozmowni, przyjaźnie nastawieni do cudzoziemców, szczególnie do Polaków. Od razu też wchodzimy z nimi w kontakt serdeczny i bezpośredni, jakbyśmy się znali od dawna. „Gruzja jest Polską Związku Radzieckiego” — mówi jeden z pisarzy i zaraz dodaje: „Jesteśmy, podobnie jak wy, wrażliwi na sztukę, na to, co nowe i twórcze”. Słowa te lechtają przyjemnie nasze poczucie narodowe, choć nie wiem, czy tak zupełnie odpowiadają prawdzie. Może ta sympatia do Polski bierze się stąd, że w przeszłości osiedlali się tutaj zesłani na banicję Polacy, z których wielu pracą i działalnością swoją zasłużyło się dla rozwoju kultury gruzińskiej. Jednym z najzbarliwszych patriotów i poetów gruzińskich XIX stulecia był Polak Grigoryj Wolski, a wśród aktorów współczesnego teatru w Tbilisi znajduje się Jacob Trypolski. Młody pisarz, od którego dowiadujemy się o tym, opatruje swoją informację żartobliwym komentarzem: „Trypolski, uważacie. Znaczy się — aż trzy razy polski”. Ten młody pisarz, Josif Nonieszwilli, poeta i sekretarz Związku Literatów w jednej osobie, zaprowadził nas na Świętą Górę, z której widać jak na dłoni całe Tbilisi. Oglądaliśmy cmentarz, na którym znajdują się groby zasłużonych dla Gruzji pisarzy, malarzy i artystów. Tutaj pochowano również matkę Stalina — kobietę prostą, która do końca życia nie bardzo orientowała się w tym, co jej syn robi i czym się zajmuje. Opowiadano nam, że kiedy odwiedzali ją znajomi i przyjaciele gruzińscy, powtarzała nieodmiennie: „Postarajcie się o jakąś posesję dla mojego syna, tu, na miejscu, po cóż ma on pracować w dalekiej Moskwie”.

A jeszcze wyżej nad nami błyszczy w słońcu okazała postać kobieca. To olbrzymi pomnik na szczycie góry, przedstawiający Matkę Gruzji. W jednej ręce trzyma ona miecz, w drugiej — puchar wina. Miecz przeznaczony jest dla wrogów Gruzji, puchar wina — dla jej przyjaciół. Ponieważ przyjechaliśmy jako przyjaciele, nie dziwnego, że wino poleje się strumieniami.

2.

Wina gruzińskie są wspaniałe. Ale najlepsze ze wszystkich, wino czerwone o dziwnej nazwie Czchaweli. Czchaweli to po prostu arcydzieło. Dlaczego nie sprowadza się tego arcydzieła do Polski? Tamada, czyli naczelnik stołu, daje znak do picia i wznosi toasty. Podczas biesiady nikomu nie wolno wygłaszać przemówień bez jego zezwolenia. Toastów obowiązkowych, od których nikt nie może się wykręcić, jest dwadzieścia. Tamada obserwuje gości i pilnie baczy, aby opróżniać kielichy do dna. Pierwszy toast ma zazwyczaj charakter ogólny (za pomysłność ojczyzny, literatury, braterstwa), następnie stają się stopniowo coraz bardziej skonkretyzowane i szczegółowe, a więc pije się zdrowie przyjaciół, zdrowie ich bliskich: żon, dzieci, siostr i braci, itp. Muszę wyznać

Dalszy ciąg na str. 4



Przygotowywana bardzo długo — i trzeba stwierdzić — z wielkimi trudnościami konferencja na szczycie krajów latyno-amerykańskich w Punta del Este, w której wziął udział także Johnson, obserwowana była z dużą uwagą. Dla nikogo nie było bowiem tajemnicą, że dialog między dwiema Amerykami będzie trudny. Nigdy jeszcze nie występowały tak ostre konflikty, jak obecnie. Johnsonowska polityka „paki i marchewki” wywołata w krajach Ameryki Łacińskiej szereg niekorzystnych dla Waszyngtonu zjawisk. Zachwiała się zawsze wątpliwa jedność. Wprawdzie spośród 20 krajów członkowskich Organizacji Państw Amerykańskich połowa ma rządy dyktatorskie, wojskowo-policyjne, przychylnie Stanom Zjednoczonym, jednak wykształciła się także swoista opozycja. Kraje stanowiące ją dążą do prymatu zagadnień ekonomicznych przed wysuwaniem na plan pierwszy przez Waszyngton celami militarnymi organizacjami.

W tych warunkach z uwagą spoglądano na konferencję, jakiej właściwie nigdy jeszcze nie było. Wszystkie dotychczasowe spotkania odbywały się w mniejszych gronach i z jednym tylko wyjątkiem bez udziału prezydenta USA.

Oficjalny komunikat, ogłoszony po zamknięciu obrad na szczycie, przynosi wiadomość o podpisaniu przez 18 prezydentów krajów latyno-amerykańskich i Johnsona (prezydent Ekwadoru po ostrej krytyce polityki USA nie złożył podpisu) deklaracji i programu działania. Najistotniejsze decyzje, zawarte w tych dokumentach, dotyczą: organizacji w latach 1970—85 wspólnego rynku Ameryki Łacińskiej, koordynacji państwowych projektów gospodarczych, skoncentrowania uwagi na rozwoju rolnictwa, oświaty i poprawie warunków zdrowotnych oraz wyeliminowania zbędnych wydatków wojskowych.

Już tylko z tego wycięcia wynika, co najmniej trzy wnioski: po pierwsze — że Waszyngton musiał odstąpić od forsowania na omawianej konferencji organizacji międzyamerykańskich sił wojskowych i policyjnych, po drugie — że nie miał odzwagą nalegać na poparcie jego wojennej polityki w Wietnamie, zdając sobie sprawę, iż takiej aprobaty nie otrzyma, po trzecie — że musiał pogodzić się z prymatem problematyki ekonomiczno-społecznej.

Warto dodać, że na początku prac przygotowawczych do tej konferencji administracja północnoamerykańska stawiała sobie inne cele, od których jednak musiała odstąpić. Kryje Ameryki Łacińskiej zainteresowane są bowiem nie interwencyjnymi planami USA, ale swym rozwojem ekonomicznym.

Konferencja w Punta del Este potwierdziła także, że jedność krajów AL jest mitem, ale też — że aktualnie prawicowa grupa La Plata nie była w stanie narzucić swego zdania innym krajom.

Zanim przejdę do niektórych wydarzeń europejskich — zatrzymajmy się jeszcze przez chwilę w Indii.

6 maja odbędą się tam wybory prezydenckie. Po wyborach parlamentarnych, które poprzedziła ostra walka wyborcza i które przyniosły poważny spadek pozycji Indyjskiego Kongresu Narodowego, wzbudzają one uzasadnione zainteresowanie. Tym większe, że obecny prezydent Radhakrisnan zapowiedział rezygnację z ponownego kandydowania.

Radhakrisnan jest drugim po uzyskaniu przez Indię niepodległości w 1947 r. prezydentem tego kraju. Ma 70 lat, ale — jak sam przyznał — nie wiek, lecz ostatnie wydarzenia wpłynęły na jego decyzję.

Sprawa jest interesująca dlatego, że partia kongresowa w kolegium wyborczym, w skład którego w równym liczbie wchodzi deputowani stanowi i deputowani obu izb parlamentu centralnego, ma zaledwie 2-procentową przewagę głosów. Jej sytuacja pogarsza jeszcze i to, że opozycja ma wystąpić w wyborach zblokowana, popierając kandydaturę prezesa Sądu Najwyższego — Subarao.

Czy więc rządzącej partii uda się przeformować swego kandydata? To właśnie żywo interesuje komentatorów.

A teraz przenieśmy się do Europy. Końcówce przygotowania do europejskiej narady partii komunistycznych, która — jak pisaliśmy — odbędzie się w Karlowych Warach i podejmie zasadniczy problem naszego kontynentu: bezpieczeństwo narodów, zbiegają się z VII Zjazdem SED. Pozwala to wyciągnąć zaleźność problemu bezpieczeństwa europejskiego od kwestii niemieckiej, rolę w tym systemie Niemieckiej Republiki Demokratycznej i antypokoju politykę Bonn.

Dotychczas w ub. tygodniu pisałem o załamaniu się tzw. nowej polityki wschodniej NRF, przewidując, że przed koalicyjnym rządem stanie pytanie: i co dalej?

Otóż właśnie w ostatnich dniach Kiesinger podjął jak gdyby nowy etap, składając na posiedzeniu Bundestagu deklarację, którą określić można mianem katalogu posunięć wobec NRD. Jednocześnie zarząd SPD wystąpił z listem do delegatów SED. Jak wyjdzie się — mają one przede wszystkim, jeśli nie wyłącznie, znaczenie propagandowe. Mimo to „Neues Deutschland” poświęca im uwagę wskazując jednocześnie właściwego adresata propozycji.

„Byłoby najlepiej — pisał dziennik — gdyby rząd zachodniomiejski lub Bundestag zwrócił się do rządu NRD, który, jak każdy wie, jest kompetentny do rozpatrzenia tych problemów, noszących charakter państwowy”.

W tymże piśmie czytamy także: „Jeśteśmy bardzo ciekawi, czy rząd bniński podejmie nareszcie konieczny krok i porzuci swe roszczenia do wyłącznej reprezentacji oraz czy zdeklaruje gotowość do podjęcia równoprawnych rokowań”.

Tylko to bowiem może być sprawdzianem intencji Bonn.

W. SŁAWSKI

Tygodnik Świata

Ameryka Łacińska utraciła w okresie ubiegłych 5 lat ponad 3 tysiące naukowców, inżynierów i lekarzy, wskutek stosowania przez Stany Zjednoczone tzw. „drenażu mózgow” w tym rejonie. Straty krajów Ameryki Łacińskiej z tego tytułu oblicza się na około 12 milionów dolarów rocznie.

„Rude Pravo”: Stanowisko, jakie kierownictwo grupy Mao Tse-tunga zajęło wobec amerykańskiej polityki wzmagania wojny w Wietnamie w pełni odpowiada temu, co Johnson ustalił zarówno drogą dyplomatyczną, jak i przy pomocy wywiadu: „Dopóki nie zostanie naruszona integralność ChRL i dopóki nie nastąpi bezpośredni desant

wie nieagresji. Nasuwa się jednak pytanie — kończy dziennik — na czyją korzyść i czym kosztem odbywa się ów „dialog amerykańsko-chiński”.

Zdaniem obserwatorów politycznych w Bonn, w szeregu miast NRF przygotowywane są procesy przeciwko członkom i sympatykom zdelegalizowanej KPD, oskarżonym o rzekome prowadzenie działalności godzącej w podstawy ustrojowe NRF.

New York Times w korespondencji z Urugwaju, gdzie odbywało się spotkanie prezydentów krajów Ameryki Łacińskiej oraz prezydenta Johnsona, pisze, iż wystąpienie Johnsona na tej konferencji było jedynie „nowym rodzajem w retorycznej wojnie z nędzą w Ameryce Łacińskiej, podobnej w tonie i taktyce do snów o wielkim społeczeństwie w USA. Właśnie dlatego — kontynuuje dziennik — atmosfera w Punta del Este jest raczej smutna”.

W związku z 40-leciem radzieckiego autonomizacji obywateli żydowskiego na Dalekim Wschodzie, Birobidżan, powstałego w 1928 roku, ukazuje się tom prozy i poezji pt. „Birobidżan literacki”. Ukazuje się również zbiór najpopularniejszych opowiadań, reportaży literackich i wierszy zamieszczonych w języku jidysz na łamach dziennika „Birobidżaner Stern”.

Powołując się na korespondentów japońskich AFP, podaje, że przewodniczący ChRL Liu Szao-tsi i jego zwolennicy mieli zażądać konfrontacji z Mao Tse-tungiem w czasie najbliższego posiedzenia plenarnego KC partii.

Washington. Evening Star: „Wcześniej czy później trzeba będzie stanąć twarzą w twarz z zasadniczym faktem: dzisiejsza Europa nie oczekuje już rozwiązania swych problemów w oparciu o jedność i siłę Zachodu. W różnym stopniu — poszerze gólni sojusznicy pokładają dziś swą nadzieję na stopniu wym likwidowaniu nieporozumień z blokiem wschodnim. Wszelka nowa formuła amerykańskiej polityki wobec Europy będzie musiała



— A reszta jest milczeniem...

wojsk amerykańskich na terytorium DRW, który to desant stanowiłby groźbę dla Chin, Waszyngton może się nie obawiać starcia z Chinami w wielkiej wojnie azjatyckiej. „Rude Pravo” stwierdza, iż z powyższego można wywnioskować, że między Chinami a USA istnieje niewątpliwie jakieś tajne, nie pisane porozumienie w spra-

uwzględnić tę fundamentalną zmianę.

W latach 1950—1967 średnie roczne tempo przyrostu produkcji przemysłowej w Rumunii wynosiło 12,5 proc. i było jednym z najwyższych we współczesnej ekonomice światowej. Pozwoliło to na zwiększenie produkcji globalnej w porównaniu z 1948 rokiem jedenastokrotnie, a produkcję rolnej dwukrotnie. Gdyby ekonomika Rumunii rozwijała się w takim tempie, jak w okresie międzywojennym, to osiągnęłaby poziom z 1965 roku w roku 2000.

W Ghanie zarysowuje się ostry konflikt między politykami „cywilnymi” a „wojskowymi” na temat perspektyw i czasu trwania rządów wojskowych. Obecne władze wojskowe twierdzą, że Ghanie potrzebny jest długi okres rządów wojskowych, a przekazanie władzy w ręce „cywilów” będzie możliwe dopiero wówczas, kiedy Ghańczycy „dojrzeją politycznie”.

W Związku Radzieckim ukazuje się niebawem zbiór opowiadań biblijnych pt. „Wieża Babel”. Są tam opowiadania o potopie, o oślej Balaama, o Dawidzie i Goliacie itp. Informując o tym redakcję „Literaturnoj Gazety” pisarz K. Czukowski stwierdził: „Sądzę, że radziecka młodzież i dzieci, które wciąż spotykają i w książkach i w galeriach sztuki i w muzeach, mnóstwo wątków biblijnych powinny wreszcie zapoznać się z nimi. Opowieści biblijne bowiem mają ogromną wartość artystyczną, niezależnie od swej tendencji religijnej, od której nasza książka jest wolna”.

Według informacji dziennika „Evening Standard” w czasie ostatniego tzw. „małego szczytu” w Kairze, prezydent Naser miał nalegać na przewodniczącą Rady Rewolucyjnej Algierii, pułkownika Bumediena, by zgodził się na uwolnienie Ben Belli. Bumedien — pisze dziennik — zgodził się uwolnić Ben Bellę, pod warunkiem, że zabroń mu się zajmowania polityką, niezamieszkiwania w żadnym kraju arabskim i nieodwiedzania żadnego z nich. Algieria gotowa byłaby przyznać mu wysoką pensję i za pewnić wille, najchętniej w Szwajcarii.

New York Times o stanowisku de Gaulle'a wobec problemu wietnamskiego: „De Gaulle po prostu nie wierzy, aby USA mogły utrzymać „żgnity teren w Indochinach, gdzie Francja poniosła fiasko. De Gaulle traktuje po gardliwie reżim sajsański i twierdzi, że prawdziwym rządem na Południu jest Vietcong. General pragnąłby wycofania się USA, jednocześnie całego Wietnamu pod kierownictwem Ho Chi Minha, a następnie cierpliwych wysiłków na rzecz neutralizacji tego rejonu Indochin”.

New York Post: „Johnson uczynił rzecz, zdawałoby się niemożliwą do zrobienia, a przynajmniej taką, jakiej za den republikanin nie byłoby w stanie wykonać, a mianowicie zjednoczył głęboko rozbitą partię republikańską — w najdonioślejszej sprawie znajdującej się na porządku dziennym — Wietnamu. Gdyby Johnson zarejestrowany był formalnie jako członek partii republikańskiej, przypuszczalnie zdobyłby nominację tej partii w pierwszej turze głosowania w przyszłym roku, a następnie z łatwością mógłby sięgnąć po zwycięstwo wyborcze.

W 1965 r. założono w Związku Radzieckim ponad 2 miliony nowych rodzin. Średnio w ciągu godziny zawierano 230 ślubów. Równocześnie jednak obserwuje się spadek osetki małżeństw. W 1959 r. na 1000 mieszkańców ZSRR przypadało 12,2 związków małżeńskich, w 1965 r. — 8,7. Fakt ten tłumaczy się tym, że w lek zawierania małżeństw wkroczyły tzw. roczniki wojenne.

Agencja Reutersa donosi z Waszyngtonu że USA toczą pertraktacje z ZSRR w sprawie nowych większych gmachów dla ambasad USA i ZSRR odpowiednio w Moskwie i Waszyngtonie.

Nożycami przez prasę — Nożycami przez prasę

STUDENCI W OCZACH STUDENTÓW

Najpierw dwutygodnik „Pomorze” (Bydgoszcz — Toruń) zamieścił artykuł o tym, jak studentów widzą ludzie starsi. A w ostatnim numerze o tym, jak oni widzą sami siebie. Autor, Marian Kruszek, dość łatwo uogólnia, warto jednak zwrócić uwagę na dwa momenty. Pierwszy dotyczy życia seksualnego i zawiera ostrzeżenie pod adresem studentek pierwszego roku.

Chcę wykazania się przed innymi, że się kogoś ma, że jest się kogoś potrzebnym, że ktoś nas kocha, nieraz prowadzi, rzecz jasna, do przedczesnych decyzji, do kroków nieprzemysłanych mających w konsekwencji bardzo przykre następstwa...

Na niebezpieczeństwa te najbardziej narażone są studentki pierwszego roku, szczególnie mieszkające w domu akademickim z dala od kontroli rodzicielskiej...

Następuje zbyt forsowne i przez to szalenie niebezpieczne zaspokajanie ciekawości życia. Bardzo wiele dziewcząt nie jest do tego absolutnie przygotowanych, każda zaś chce być „nowoczesna”, „równa”, „chce wyzywać się „zaczofania” i „przesądów” wyniesionych z domu...

Drugi moment dotyczy zaangażowania, spostrzeżenia wydają się trafne.

Zapomina się często, że młodzież akademicka w swym zasadniczym trzonie jest społecznością o dość wysoko rozwiniętym życiu intelektualnym. Przy tym jest to społeczność ludzi młodych, a naturalnym prawem młodości jest bunt przeciwko każdej zastanej rzeczywistości, ostre i wyizolowane widzenie pewnych problemów społecznych, radykal-

ność poglądów, przekora itp. W sumie są to jednak postawy twórcze, gdyż tkwi w nich rzeczywista pasja, rzeczywisty entuzjazm, rzeczywisty zapał do czynu. Tylko, niestety, postaw tych wciąż nie potrafimy wykorzystać z większym niż dotychczas pożytkiem społecznym.

WSPOMNIENIA GEN. BERLINGA

Gen. broni Zygmunt Berling, dowódca historycznej dywizji im. Kościuszki a następnie I Armii, rozpoczął w „Kulturze” druk fragmentów swoich wspomnień. Nie tylko autor, ale i sposób narracji budzi zainteresowanie. Z notki informacyjnej dowiadujemy się, że okres po wyjściu armii gen. Andersa z ZSRR znajduje się jeszcze w stadium opracowania. Warto czekać na dalszy ciąg wspomnień, a tym bardziej na całość w wydaniu książkowym.

Poza tym tygodnik warszawski poświęca całą kolumnę nowej powieści Romana Bratnego, zast. red. naczelnego pisma. Wypowiadają się m. in.: Bohdan Czeszko (również zast. red. nac. pisma), Witold Zaleski (także zast. red. nac. pisma)... Co zresztą nie przeszkadza temu, że lubię czytać pomniejsze książki Bratnego.

OPLATY TURYSTYCZNE

W związku z podwyżką kosztów, towarzyszących uzyskiwaniu dewiz na wyjazdy turystyczne, przedstawiciel „Polityki” zwrócił się do wiceministra finansów i prezesa NBP w jednej osobie, St. Majewskiego, z prośbą o wyjaśnienia.

Trzeba przyznać, że przedstawiciel „Polityki” życia przeswoił swy

mi pytaniami nie ułatwia. I dlatego nowe zarządzenia wydają się być przekonywujące.

Przy okazji ujawniono jeszcze jeden jakże dla naszych turystów charakterystyczny szczegół:

W ubiegłym roku Węgrzy przysłali nam dwa wagony polskich banknotów, wymienionych przez Polaków w ich bankach. Było tego prawie dwieście milionów złotych, czyli każdy przeciętny turysta wyjeżdżający na Węgry wymienił 1.500 zł. Akurat dziesięciokrotnie więcej, niż pozwalają przepisy. Zade ne środki administracyjne nie pomogą, trzeba zastosować ekonomizację. Niezależnie od tego umówiliśmy się z bankami wszystkich krajów RWPG, że nie będą już wymieniać więcej niż po 150 zł na osobę.

POCIESZYCIELE

Telewizjowcy pamiętają zapewne wieczór przy kominku z Kazimierzem Rudzkim. Postępując się „Lalką” p. Kazimierz mówił o kulturze obsługi w handlu, jako wzór stawiając sytuację ze znakomitej powieści.

Jakiegokolwiek błędki u nas dotknąć, zawsze znajdzie się ktoś, kto pocieszy, izer otrze. Jeśli mówimy o chuliganstwie, znajdzie się publi cysta, który napisze, że przecież i w Szwecji... Jeśli dyskutujemy o aferach, zaraz ktoś przypomni, że w Ameryce są większe...

W „Przekroju” zabrała głos p. Gabriela Pauszer-Klonowska, autorka książek o Prusie. Znalazła w starych rocznikach skargę Bolesława Prusa na nieuprzejmość sprzedawczyni. P. Pauszer-Klonowska doda-

KONCERT



Fot. J. Głowacki

NA ŚMIERĆ

Dalszy ciąg ze str. 1

ręczniki, i buty przedtem wiazał w pary, aby się czasem nie pomieszały, a jak wchodził tłocząc się i przepychając do komór gazowych, pełni jakichś niejasnych przeżyć, to obawy ich rozwiewały się szybko, bo były tam lustra na ścianach i siłka prysznicowe na sufitych, i gdzieś z oddali dochodziła muzyka, porażająco piękna i porażająco smutna. Bo ostatnia.

Kazimierz Gwizdka opowiadał, w jaki sposób pierwszy instrument przeszedł na teren obozu, i jak tworzyły się obozowe zespoły, których było aż cztery. Najpierw ty-

ko kwintet złożony z harmonisty, saksofonisty, trębacza, skrzypka i gitarzysty. Potem — orkiestra dęta złożona ze 120 więźniów, symfoniczna z 80, taneczna z 20 i jazzowa z 6. W tym drugim okresie niemiecka administracja zakupiła dla zespołów nuty, między innymi marsze na orkiestrę dętą i utwory poważne — Czajkowskiego, Nowowiejskiego, Mozarta i Beethovena.

Kazimierz Gwizdka, numer 120164, opowiadał o koncertach w czasie trzaskających mroźców, o tym jak skrzypkowie grali w postrzępionych rękawiczkach, o tym jak trębaczom i tubistom ustniki przymarzały do warg. Opowiadał o koncertach w czasie ulewnych deszczów, jak kon-

trabasista wylewał litrami wodę z tych swoich ogromnych skrzypiec, jak kapelmistrz dyrygował orkiestrą przez ulowę i nie było widać jego rąk, ani twarzy, zarys tylko niewyraźny sylwetki przygarbionej na drewnianym podium, na tle baraków czarnych i niskich. To były koncerty śmierci.

3.

Opowieści Kazimierza Gwizdki przysłuchiwał się dziekan wydziału wychowania muzycznego PWSM w Łodzi, docent Mieczysław Kacperczyk. Przypominał on sobie, że w czasie przeglądania archiwum muzycznego szkoły, widział jakieś nuty z tuszowym nadrukiem „Au-

schwitz”. To był trop. Od razi po powrocie grupa studentów rozpoczęła poszukiwanie pośród wieloletnich zbiorów biblioteki. Pamięć nie zawiodła Kacperczyka. Odnalazła się partytura „Piątej Symfonii” Beethovena, której każdy zeszyt opatrzone był u góry, w prawym rogu, tuszowym nadrukiem: Haefil. Kapelle. K.L. Auschwitz.

Partyturę przekazano Klubowi Oświęcimiaków, a następnie, w przeddzień XXII rocznicy wyzwolenia obozu, podczas uroczystego koncertu w Filharmonii, nuty przekazane zostały kustoszowi Muzeum w Oświęcimiu. Zaszczepił przewiezienia partytury przypadł Kazimierzowi Gwizdce, więźniowi numer 120164.

4.

Koncert w Filharmonii, na który złożyły się utwory Nowowiejskiego, Bacha, Beethovena, Vivaldi'ego, D. Astorga, Corelli'ego, Caccini'ego i Moniuszki — przeplatany był zdjęciami dokumentalnymi i przezroczami z Archiwum Państwowego Muzeum w Oświęcimiu.

- Blok 11 — Ściana śmierci.
- Bliźnięta, na których eksperymentował dr Mengele.
- Rampa Oświęcimska: Ostatni etap czterech milionów ludzi.
- Blok 10 — eksperymenty.
- Szubienica.
- Cyklon B — masowy środek zagłady.
- Oświęcimskie krematorium.
- Droga kobiet do komory gazowej. Zdjęcie wykonane przez obozowy Ruch Oporu.
- Włosianka z włosów ludzkich wyprodukowana przez firmę Alex Zink.
- Palenie na stosie. Krematoria nie były w stanie pochłonąć 20 000 ofiar dziennie.
- Buty uśmierconych ludzi.
- Protezy kalek zwiezionych do obozu.
- Dzieci oświęcimskie, których było ponad 800 000 i których ocalało 180 (słownie: sto osiemdziesiąt — cztery — pięć klas szkolnych, albo niewielki przyzakładowy żłobek).
- Orkiestra obozowa — jej dźwięki towarzyszyć musiały wszystkim zbrodniom.

5.

Partytura „Piątej Symfonii” Beethovena nie jest jedyną pamiątką, która pozostała po oświęcimskich koncertach śmierci. „Przegląd Lekarski” opublikował ogromną listę muzyków grających w obozowych zespołach. W dotychczasowym, niezamkniętym jeszcze spisie jest 124 muzyków polskich, 1 Cygan, 12 Czechów, 7 Rosjan i 2 Niemców.

Ważnym dokumentem z koncertów śmierci są także wspomnienia Adama Kopycińskiego, byłego więźnia obozu koncentracyjnego Auschwitz-Birkenau, numer 25294; grał w obozowej orkiestrze na fortepianie i był jednym z trzech dyrygentów.

Oto fragment jego relacji:
„...zespół zmieniał się jak w ka-

lejdoskopie. Jednych zabierała bezlitosna śmierć, innych znowu zapraszano na blok kaźni, by strzałem w tył głowy rozplatać czaszkę.

„Trudno nie wspomnieć o tragicznym ranku, kiedy to, po wyjściu z komand, grająca bez przerwy orkiestra przez długi czas nie otrzymała znaku na zakończenie. Potężne akordy odbijały się o puste mury obozu. Nagle stojący z grupą więźniów sławny Rapportführer Palitzsch, przysłuchujący się orkiestrze, powiedział do jednego z więźniów:

„Niech ten czelista zagra sobie jeszcze ostatniego marsza przed śmiercią”.

Za parę minut nasz towarzysz został wezwany, aby nie wrócić do nas więcej.

Z tych, co odeszli po wieczną nagrodę, można by było stworzyć wielką orkiestrę symfoniczną. I dlatego my, muzycy, nie możemy zapomnieć o tych, którzy padli na prawdę na posterunku, z instrumentami w porażonych rękach”.

6.

Jedni mówią, że odsłonięty w niedzielę Pomnik Oświęcimski nie jest monumentem, i że nie jest ładny. Inni, że piękny, bo stopiony z krajobrazem. Jedni mówią, że filmy Jakubowskiej są niedobre, a inni, że są wstrząsające i piękne. Jednym nie podoba się pomnik w Radogoszczu, uduchowiony — mówią — niepoważny. Inni chwala to dzieło sztuki, że wyniosłe i piękne. Jednym nie traflilo do słuchu oratorium „Dies irae” Krzysztofa Pendereckiego. Inni są zachwyceni: przerażające i piękne.

Piękne, piękne, piękne...
„Ciała dzieci
z dna krematorium
będą lecieć
ponad historią

Ciała młodzieńców
ciała dziewcząt
w cierniowych wieńcach
przyjdą zewsząd

Ciała mężów
z cmentarzy polnych
pójdą zwyciężać
będą wolne...”

Piękna jest literatura o zagładzie.

Piękna jest „Piąta Symfonia” z nadrukiem w prawym rogu: Haefil. Kapelle. Auschwitz, grana Niemcom do obłady i Polakom do śmierci. Piękne są filmy Jakubowskiej, i pomniki z Oświęcimia, Radogoszcza... Piękna jest Pasja Pendereckiego.

Ale do diabła z tym pięknem. Do diabła z tą wielką sztuką, kupioną za miliony istnień, zrobioną z cierpienia ludzi, z kości i włosów.

Wiem, że ona być musi. Żeby przestrzegać.
Ale lepiej, żeby jej nie było.
Żeby nie miała z czego powstawać.

ANDRZEJ MAKOWIECKI

TADEUSZ SZEWEERA

Niefortunny debiut aktora Urbańskiego

Czy do nieudanego debiutu aktorskiego doszło tak właśnie, jak tego chcą biografowie, czy też inne były przyczyny scenicznej klęski „Urbańskiego”, nie moja rzecz dowodzić, ani rozstrzygać w krótkim szkicu. Zamierzam jedynie, w oparciu o istniejące publikacje, drobne wzmianki, lub fragmenty wspomnień, opowiedzieć o tej niefortunnej próbie wyboru zawodu, która — aczkolwiek zaliczana do mało znaczących epizodów w życiu omawianej osoby, przecież ostatecznie znalazła wyraz w twórczości literackiej, jaką niedoszły aktor w końcu zaczął uprawiać.

Jan Szyborski występujący w latach 1886—1900 w zespołach prowincjonalnych, tak miał opowiadać o teatralnej karierze niejakiego Urbańskiego:

„Mniej więcej w połowie sezonu zjawił się u naszego dyrektora jakiś młodzieniec, przedstawił się jako Urbański i prosił o debiut. Warunki fizyczne raczej nieprzychylne; niewysokiego wzrostu, o nienadzwyczajnym głosie i wzroku tak krótkiego, że bez szkielec nie prawie nie widzi. Dyrekcja dała mu jednak debiut w „Barkaroli” Gawełewicza. Wszedł na scenę nieprzytomny z

tremy, a że grał „amanta”, więc grał bez okularów, co go do reszty ubierz władniało. Skończył scenę i na pół ociemniały, zamiast ze sceny wyjść normalnymi drzwiami, otworzył stojącą obok szafę i wszedł do szafy. Utknął oczywiście cały spektakl „Barkaroli”. Dyrektor zatrzymał go jednak w zespole. Był miły, koleżeńcki, lubiliśmy go. Twierdził, że jest synem obywatela ziemskiego z Lubelszczyzny. Po jakimś czasie zniknął nam z oczu. Po kilku latach, jadąc koleją warszawsko-wiedeńską, na stacji Baby czy Wolbórką, ujrzałem go w czerwonej czapce kierownika ruchu. Ucieszony wybiegłem z wagonu, dopadłem go: Jak się masz Urbański! — krzyknąłem. On się rozczepił jakby chciał skoczyć, czy ktoś mu nie słyszał i przyciągnął mnie do siebie, szepnął mi do ucha: Nie jestem Urbański. Nazywam się Rejment”.

Ow Rejment to nie kto inny, jak właśnie sławny — oczywiście w czasach późniejszych — pisarz Władysław Stanisław Rejment, autor m. in. opowiadań „Lil” i „Fermenty” w których zawarł także na pewno częstokroć własnych doświadczeń i przeżyć z okresu, gdy niefortunnie próbował aktorstwa. Ten nieudany debiut, zmiana nazwiska na Urbański, fantastyczna opowieść o ziemianstwie pochodzeniu i tym podobne zmyślenia, o których wspominają ludzie osobliście znający autora „Chłopów”, nie powinny nas wcale dziwić. Rejment lubił fantazjować i ponoć do końca życia nie wyżył się koloryzowaniem faktów, jak również ubarwianiem swego życiorysu. Jan Lorentowicz, u którego Rejment mieszkał czas jakiś w Paryżu, wspominał wielokrotnie „malownicze legendy” pana Władysława. Było w nich wiele miejsca także i dla owych rzekomych teatralnych sukcesów, które faktycznie

ograniczały się jedynie do paromiesięcznej wódczki z wędrownymi trupami aktorskimi po małych miasteczkach i do paru fatalnie zagranych ról.

„O swoich personaliach mówił Rejment często i za każdym razem inaczej” — pisze Lorentowicz. — „Najczęściej powtarzała się wersja, że po czasach szkolnych zaprzęgnięto go do gospodarki rolnej, ale tęsknota za swobodą kazała mu uciec z domu i włączyć się z jakąś grupą aktorską. Gdy mu dokuczyla nuda, przyjmuje posadę na kole, skąd znowu ucieka do teatru, włączy się z cyrkiem, a potem znowu dostaje miejsce dozorczy utwórku toru kolejowego z pensją dwustu rubli miesięcznie. Wówczas to piął podobno ołówkiem, w rowie na kamieniu lub na trawie, pierusze swe utwory... Gdy opuścił teatr miał zaulecie dla dziewcząt”.

Tak sformułowany życiorys niewątpliwie budził sensację w gronie artystycznej braci paryskiej, która z nie słabnącą sympatią, a zarazem żarłoczną ciekawością chłonęła coraz to nowsze i pikantniejsze szczegóły. Lorentowicz pisząc „Na paryskim bruku” wspomina i to, że Rejment nawet dowodził, iż ród jego wyprowadza się w prostej linii od skandynawskich Wikingów, którzy „osiedli najpierw nad Bałtykiem, a później zawędrowali do ziemi piotrkowskiej. Stąd pochodził rzekomo jego nazwisko Rejmont”. Opowiadając o swym pochodzeniu autor „Chłopów” nie przejmował się wcale faktem, że w kościele parafialnym we wsi Kobieli Wielkie istnieje je zapis metrykalny, który niezłomie stwierdza, iż... „Józef Rejment, lat 33 mający, organista przy kościele Kobieli Wielkie zamieszkały, w obecności Feliksa Kościelniaka lat 23 i Jana Skrzypczaka lat 29 mających, obydwóch gospodarzy, okazał nam (księdzu Szymonowi Kup-

czyńskiemu — dop. mój) dziecie płci męskiej, w Kobieliach Wielkich urodzone, dnia 25 kwietnia 1867 r. o godzinie 7-mej po południu, z jego matką Antoniną z Kupczyńskich, lat 29 liczącą. Dziecięciu temu, na chrzcie świętym, odbytym w dniu dzisiejszym (2 maja 1867 roku — dop. mój) nadano imiona dwa: Stanisław — Władysław...”

No cóż, paryską fantazję pisarską Rejmonta sprostowali ostatecznie jego biografowie, którzy sięgnęli właśnie po cytowany akt chrztu. Ale doszli do tej prawdy już po śmierci sławnego Rejmonta. Natomiast Jan Lorentowicz znacznie wcześniej miał wątpliwości co do niego, opowiadając mu przez pana Władysława szczegółów:

„W opowieściach jego podejrzewałem poważne luki. Zaintrygowano mnie na przykład, że Rejmont zna konieci przyrząd i reperował sobie własne ubrania. Gdy go zapytałem, gdzie się tej sztuki nauczył, odpowiedział: W teatrze. Tam trzeba było wszystko umieć”.

Tajemnicę odkrył dopiero przed wszystkimi, a więc i przed Lorentowiczem, pisarz Adam Grzymała-Siedlecki, który odnalazł w warszawskim echu krawieckim dokument świadczący, że Rejmont został tam wywołany na czeladnika krawieckiego w 1884 roku. Świadczyło to, że już w trzynastym roku życia „odany został do rzemiosła i że szkoły jego nie przekroczyły nauki elementarnej”. Ten szczegół życiorysu ukrywał Rejmont z jakimś fałszywym wstydem do końca życia, podobnie jak niewiele ujawniał ze swej pracy scenicznej. Jeśli już musiał coś na ten temat mówić dziennikarzom, czy innym osobom proszącym o wywiady, to zapewniał, że grywał „role bohaterские pod dyrekcją Stobińskiego, później obu Ratajewiczów (ojca i syna), wreszcie w Teatrze Cybulskiego”.

A już ze szczególnym rozręwaniem wspominać miał, jak zapewnienia Antoni Lange, swą kreację Zbigniewa w „Mazepie”. Lecz w świetle opowieści aktora Szyborskiego o aktorze „Urbańskim”, wersję o kreacji w dramacie Słowackiego wypadłoby także włożyć między bajki wymyślone przez niedoszłego aktora.

Jak twierdzi biografowie, zapaly teatralne Rejmonta nierychło wygasły; ciągnęły się z przerwami „w trudach, nędzy, wódczce, w niepowodzeniach artystycznych przez dobrych sześć, a może nawet siedem lat”, zanim „nie zaczął się na szczęście u niefortunnego debiutanta pojawiać autokrytycyzm”. Oczywiście — na szczęście dla literackiego talentu przyszłego pisarza.

Skąd jednakże u Rejmonta, pozbawionego talentu aktorskiego, to ogromne pragnienie teatru? Zajmują się jego życiorysem utrzymują, że zapaly teatralne poczętek swój miały właśnie w krawieckim warsztacie. Adam Grzymała-Siedlecki tak to opisuje we wspomnieniu „Świat aktorski moich czasów”.

„Józef Rejment, organista przy kościele parafialnym, a i główny koncelista w urzędzie stanu cywilnego w Tuszyńcu (po przeniesieniu się z Kobieli Wielkich — dop. mój), wśród licznych swoich dzieci, miał też jednego z najmłodszych, syna Staszka, słynnego na całe miasteczko drapichrusta i nieuka. Żadnym sposobem nie mogąc go przymusić do nauki szkolnej, stary Rejment skorzystał z okoliczności, że najstarszą swą córkę wydał zamaż za Konstantego Jakimowicza, majstra krawieckiego w Warszawie i wysłał zakule rodu, dwunastoletniego wroga wiedzy, do zięcia. Tam to, u

Dalszy ciąg na str. 4

Za zdrowie GRUZJI!



Dalszy ciąg ze str. 1

(he-he), że dzielnie dotrzymałem kroku zaprawionym w winnych bojach Gruzinom. Często pije się wino z rogów lub ze specjalnych kielichów bez stopki. Chodzi o to, żeby uniemożliwić biesiadnikom symulacjstwo. Ani rogu, ani takiego kielicha nie można położyć na stole dopóty, dopóki znajduje się w nim choć kropla wina.

Nasz tamada nie jest człowiekiem drobniakiem. Zamówił od razu cały galon w pięknym plecionym koszu z dużym wiklinowym uchem. Było w nim może piętnaście, a może dwadzieścia litrów wina. Następnie rozlewał je do szklanych dzbanów, a dopiero z nich napelniał kielichy. Był przy tym poważny, skupiony, celebrował swój urząd tamady z namaszczeniem, żeby nie powiedzieć — z miłością. „Picie wina nie jest zabawą — wyjaśnił. — Picie wina jest obrzędem”. Piękny obrzęd, ani słowa. Tyle tylko, że nie biorą w nim udziału kobiety, co nie pasuje do naszych polskich form życia. Ale pamiętajmy: co kraj to obyczaj. U nas tak, a u nich inaczej. I to właśnie jest piękne.

3.

Stolicą starożytnej Gruzji, czyli Iberii była Mcheta, dziś dziesięciotysięczne miasteczko, oddalone od Tbilisi o 25 kilometrów. Tutaj przez kilka wieków mieściła się siedziba władców ówczesnego państwa iberyjskiego. Posłuchajcie ciekawej legendy o jednym z nich — Wachtangu, który lubił zapuszczać się w okoliczne lasy na polowania. Otóż pewnego dnia, nad wieczorem, ustrzelił on pięknego bażanta, ale nie od razu mógł go znaleźć, albowiem bażant wpadł do gorącego źródła i ugotował się. Wachtang, zdumiony tym odkryciem, zawołał: „Tbilili”, co znaczy „ciepły”, nakazał zbudować na tym miejscu miasto i nazwał je Tbilisi. Ale nie koniec na tym. Na pamiątkę tak szczęśliwej przygody, Wachtang urzą-

dził ucztę na powietrzu, pod gołym niebem, podczas której wiele zjedzono, jeszcze więcej wypito, a śpiewem i zabawie nie było końca. W muzeach zachowały się kielichy do przepijania „brudersaftu”, zwane wachtangurami, o podwójnych dziobkach, z których dwu ludzi może pić jednocześnie. (W tym miejscu należy wspomnieć nawiasem, że okolice Tbilisi obfitują w liczne źródła lecznicze i mineralne, wody stołowe, stąd pochodzące, nie mają sobie równych).

Mcheta, położona u ujścia Aragwi do Kury, miasto niegdyś sławne i rozgłoszone, liczące samych tylko mężczyzn zdolnych do noszenia broni — 80 tysięcy, odwiedzone jest obecnie przez turystów głównie z uwagi na swoją historię i cenne wykopaliska. Względem ten zadecydował również o naszym odwiedzinach. Cóż zresztą może być bardziej pasjonującego, niż historia, której znajomość pozwala często lepiej zrozumieć to, co dzieje się współcześnie. Na wyniosłym wzgórzu świątynia Dźwari przywodzi na myśl Lermontowa (opisał ją w jednym ze swoich poematów), a w starym kościele Świętej Choweli spoczywają prochy generała Bagrationa, z pochodzenia Gruzina, który wstąpił się w okresie wojen napoleońskich, a także prochy wszystkich członków jego rodziny. Mchetę przecina słynna Gruzjska Droga Wojenna, biegnąca z Ordżonikidze do Tbilisi grzbietem głównego pasma gór kaukaskich — niezwykle malownicza, stanowiąca wielką atrakcję turystyczną.

W czasie jazdy tą drogą zatrzymujemy się, podziwiamy piękne krajobrazy, koledzy robią zdjęcia, spotkani przechodnie wdają się z nami w rozmowę, a dowiedziawszy się, że jesteśmy z Polski, śpieszą tym chętniej z informacjami. Dowodów serdeczności ze strony Gruzynów doznajemy na każdym kroku. W jednej z restauracji natrafiamy na kelnera, mówiącego po polsku. Korzysta ze sposobności i przysiadł do nas, aby nam opowiedzieć o sobie. W czasie ostatniej wojny przebywał jako leniec wojenny w Częstochowie, gdzie zaprzyjaźnił się z Polakami. „W długie wieczory zimowe graliśmy często w karty, bo co było robić w ten piękny czas. Miałem szczęście, wygrałem bardzo dużo pieniędzy, ale mi ich nie wypłacono, odkładając całą rzecz na po wojnie,

let teatralny, czy to na operę, czy do „Rozmaitości”...

Oczywiście, żeby nie było żadnej okazji do innego wykorzystania pieniędzy, musieli w niedzielę, czyli następnego dnia, opowiedzieć majstrowi szczegółowo treść sztuki i zdać sprawę z osobistych wrażeń. Takim sposobem poznawał Stach Rejment teatr, takim sposobem ciągnąć go zaczynało na scenę.

Nie byłoby to może jeszcze tak istotne, gdyby do oglądania teatru z miejsca na balkonie, nie przylączyła się dawka jeszcze silniejsza. W zbeletryzowanej opowieści pt. „Syn ziemi”, Leszek Goliński wspomina jeden z wieczorów u Konstantych Jakimowiczów, po powrocie z przedstawienia „Romans paryski”. Terminatorzy, jak to było w zwyczaj, relacjonowali majstrowi swe wrażenia. „Jednym szło to lepiej, drugim gorzej, ale Władek zadziwił wszystkich, tak wybornie naśladował amanta z gestów, z cytowanych całych zdań ze sztuki. — Patrzcie go, jaki przemyślny — dziwił się Jakimowicz. — Myślałby kto, że się na komedianta urodził!”

Gdyby to szwagier wiedział, że mały Rejment już marzył o granu w teatrze, może by i powstrzymał się od tego fatalnego prosięcia. Ponieważ jednak nie miał pojęcia, że jego terminator natchemiasz po otrzymaniu dyplomu czeladniczego „czmychnie” do komediantów, więc też i postępując dalej według swych teatrzańskich upodobań, „zangażował” jeszcze na dodatek Staszka do udziału w amatorskich przedstawieniach urządzanych u siebie

w mieszkaniu. Państwo Jakimowiczowie bardzo lubili tę zabawę w teatr, sztyto nawet czasami prawdziwe kostiumy, preparowano peruki, była kurtyna i dekoracje. Grywano różne sztuczki, najczęściej zaczerpnięte z wydawnictw przeznaczonych dla amatorów, lecz czasem sięgano również po repertuar z prawdziwego teatru. Wówczas królował w domu przy ulicy Miodowej nr 14 — Fredro i jego „Słuby paniąckie”.

„Nasz Rejment — pisze Grzymała-Siedlecki — dopuszczany do udziału w tych amatorskich spektaklach, w charakterze może maszynisty podnoszącego kurtynę, może pomocnika perkusarza, a może amanta, zachłystnął się aktorstwem i chociaż po licznych burzach i buntach dokończył terminatorstwa i za dzieło uszytych frazka uznany był uroczysto za czeladnika krawieckiego, to jednak nazajutrz po egzaminie cechowym zemdlał do któregoś z wędrownych teatrów”... by tam grać pod pseudonimem Urbańskiego.

Jaki był efekt tego debiutu i aktorstwa, już wiemy. Wiemy też, że w końcu sięgnął po pióro, by pod nazwiskiem Władysława Stanisława Reymonta zdobyć trwałe miejsce w literaturze polskiej i światowej. I chociaż zdobył je jako wybitny prozaik, przecież nawet u szczytu sławy nie mógł jakoś pozbyć się marzeń teatralnych. A że tak było, dowodzi Ludwik Hieronim Morstin, który z Reymontem, oprómięniom rozgłosem i sławą po napisaniu „Chłopów”, spotykał się jako redaktor „Museionu”.

„Na zaproszenie do współpracy w naszym piśmie odpowiedział przystaniem kilku scen dramatu, pt. „Przebrana”. Tematem była zemsta zdradzonego małżonka, który chwycił in flagranti swoją żonę z kochankiem i zmusza go do zapalenia własnej żony paru rubli za noc miłosną, a potem zrzuca go ze schodów. I psychologicznie i dramaturgicznie rzecz chybiona, żenująco natwona, napisana lichym dialogiem, pełnym wulgarnych wyzwisk, gdzie mąż woła do żony: ty suko z domu publicznego! etc. A dramat rozgrywa się w sferze inteligencji, wśród ludzi niby wytwornych i wykształconych. Czytając ten utwór można było mieć wrażenie, że napisał go początkujący autor, który jednak wcale talentu nie zdradza, ale nie wielki twórca „Chłopów” i „Ziemi obicanej”. Długo namyślał się w redakcji, co robić z tym fantem i w końcu przemogło zdanie, że nie można twórcy tej miary odrzucać utworu, że ostatecznie odpowiada swoim nazwiskiem, i wydrukowaliśmy go w numerze czerwcowym pierwszego roku naszego pisma. Alz wstał nam było za siebie i za Reymonta, a każdy, co dziś ten utwór przeczyta może nas zrozumieć... Za ten dramat w „Museionie” dostaliśmy szereg wymyślnych od naszych czytelników, ale Reymont, gdy spotkałem się z nim wiele lat później, powiedział mi: Właśnie przeglądałem stare roczniki waszego pisma i znalazłem tam swoją „Przebraną”; żałuję, że więcej takich utworów nie napisałem. Pokazuje się, że miałem talent dramatyczny, o którym nie wiedziałem. Gdybym

ciągle nie był zajęty pisaniem tych powieści, może byłbym stworzył wielki, realistyczny dramat, na który, jak dotąd czeka polska literatura”.

Tak więc nie miał szczęścia „Urbański” — Władysław Reymont — do teatru. W latach chłopięco-młodzieżowych przeżył klęskę na scenie w roli amanta, a w latach dojrzałych nie objawił talentu jako dramaturga. Proszę się tym jednak zbytnio nie przejmować. Jak się ma taki życiorys i taka sława, można sobie pozwolić i na niefortunny debiut.

TADEUSZ SZEWEA



Rok Reymontowski

Trzeba będzie pojechać kiedyś do Częstochowy i wyegzekwować te moje należności”. Śmieje się jak z dobrego kawału i my razem z nim.

4.

Z pewnością najciekawsze było nasze spotkanie w tbiliskim Instytucie Języków Obcych. Przynajmniej dla mnie. Całą godzinę spędziliśmy w grupie młodzieży, studiującej język polski. Prym wiodła dziewczęta, których zresztą jest zdecydowana większość. Kursem kieruje mgr Stanisław Rawicz, zapędzony przez wydarzenia wojenne aż do Tbilisi, gdzie ożenił się z Gruzinką i osiadł na stałe. Do gimnazjum chodził w Samborze razem z Arturem Sandauerem („Panowie, pozdróćcie go ode mnie!”), a studia wyższe ukończył we Lwowie. Jest nie tylko znakomitym polonistą, ale i łacinnikiem. Lekcje prowadzi żywo, w sposób niezwykle urozmaicony. Młode studentki, wrywane kolejno do odpowiedzi, czytają i tłumaczą teksty polskich wierszy i piosenek, w pewnej chwili Stanisław Rawicz uruchamia adapter i oto słuchamy, w wykonaniu Sławy Przybylskiej, pięknego „Oczarowania”. Studenci podchwytyją natychmiast melodię i śpiewają chórem, wymawiając bezbłędnie polskie słowa pieśni. Dlaczego studiujecie język polski? — pytam po zakończonej lekcji. Pierwsza odpowiedź: bo mi się ten język podoba. Druga: język polski przysła mi się w handlu, w którym pragnę pracować. Trzecia: w polskim języku istnieje bogata literatura naukowa, która będzie mi potrzebna.

Uwieńczeniem naszej wizyty w Instytucie Języków Obcych jest rozmowa z jego dyrektorem i kadrą kierowniczą. Dyrektor, germanista z wykształcenia, posiada w swoim dorobku pracę o Tomaszu Mannie. Jaka szkoda, że mamy tak mało czasu do dyspozycji. Tyle byłoby spraw do poruszenia i przedyskutowania. Niestety, nie się nie da zmienić w programie. Czekaj nas jeszcze rozmowa z pisarzami i występ w telewizji, do którego trzeba się solidnie przygotować.

KARTKI Z PODROŻY

5.

Pobyt w Gruzji zakończyliśmy wypadem do Suchumi i Gagra nad Morzem Czarnym. Pogoda wspaniała. 25 stopni ciepła. Spacerujemy po nadbrzeżnej promenadzie. Tłumy ludzi, bo to niedziela. Każdy, kto żyje, wyszedł na ulicę. Okazały statek „Taras Szewczenko” czeka w porcie na amatorów przejażdżki po morzu. Męski głos przez megafon podaje co parę minut koszt takiej wycieczki i czas jej trwania. Gromadzą się chętni. Nie minie godzina i odezwie się buczek okrętowy, oznajmiający wyjazd w morze. Ale nas nie ciągnie na statek. Pozostajemy na lądzie, przypatrujemy się palmom, szeleszczącym w łagodnym wietrze, mieszamy się w barwny tłum, kupujemy w kioskach drobne upominki dla przyjaciół w kraju. A gdy dokuży nam pragnienie, wejdzmy do nadbrzeżnej kawiarni „Dioskuria”, gdzie (o dziwo!) znajduje się szafa grająca, wyprodukowana w Łodzi. Nieczynna, niestety. A to pech. Pech i wstyd. Urządzenie nowe a już nawala.

W Gagraze, przypominającej położeniem Dubrownik nad Adriatykiem, przygotowania do sezonu, który ściga tutaj ludzi z całej Europy. Bardzo nam się ta Gagra podoba. Ładne domy na łagodnym stoku gór kaukaskich, których wysokie osnieżone szczyty bliższa w wiosennym słońcu. Z każdego miejsca widok na morze, spokojne o tym czasie i jakby nieobecne. Dopiero gdy zejdzemy na sam brzeg, obejmie nas monotony szum i cichy, ledwie dosłyszalny plusk fal. Być nad Morzem Czarnym i nie wykapać się? Rozbieramy się i wchodzimy do wody, ale że zimna — wyskakujemy rozzarowani. Nie możemy jednak stać odepść. Stoimy długo na brzegu. Przed nami bezierny obszar wody aż po zamglony horyzont, nad nami jasne niebo, pod stopami drobne, kolorowe kamyczki. Wyszukujemy co niekniejsze okazy i pakujemy do kieszeni na pamiątkę. Uciesza się z tych zbiorów mój synowie. I kiedy o tym pomyślałem, zatesknęło mi się do mojego domu w Polsce. Bo każda podróż do obcego kraju staje się tylko inną formą podróży po kraju własnym.

JAN KOPROWSKI

Niefortunny debiut aktora Urbańskiego

Dalszy ciąg ze str. 3

swego szwagra, przyszły laureat Nobla terminował na krawca...”

Z dalszego ciągu wspomnienia dowiadujemy się, że w warsztacie panował bezwzględny rygor i mały „anarchista” Staszek Rejment nie czuł się dobrze w nowej roli terminatora. Ciągłe też „brykał” w niewiadomym kierunku z warsztatu krawieckiego na Miodowej nr 14, ciągle też musiano go szukać i siłą sprowadzać. Ale był mimo wszystko w domu Jakimowicza pewien magnes przyciągający niesforne chłopaka. Pan Konstanty zaliczał się do nieuleczalnych teatromanów.

„Dom majstra słynął z upodobań artystycznych. Muzyka i to poważna, wypełniała wszystkie wolne chwile. A teatrem to już wprost się pasjonowali obydwoje Jakimowiczowie. Terminatorzy, więc i młodociany szwagier, każdego sobotniego popołudnia otrzymywali po 40 groszy, by mogli kupić sobie bi-

str. 4

Bawełna od Paderewskiego

Pod koniec listopada 1918 roku opustoszałe miasto zaczęło się znów zaludniać. Wracały tysiące zdemobilizowanych żołnierzy i jeńców wojennych, wracali wywiezieni przez okupanta na przymusowe roboty członkowie tak zwanych batalionów pracy. Razem z nimi wracali ci, którzy u krewnych na wsi usiłowali jakoś przeżyć najcięższe lata wojennego głodu.

Przed bramami fabryk gromadziły się tłumy, lecz nie było nadziei, by zadymili choć jeden komin. Niemcy dokładnie wykonali swoją robotę. Nie było w mieście ani węgla, ani maszyny, którą dałoby się uruchomić.

A jednak tłumy przed bramami fabryk wciąż rosły. Może dlatego, że w mieście panował głód jeszcze dotkliwszy niż w latach wojny, a widok martwych murów fabrycznych i wyziębionych, lecz nadal dumnie sterczących kominów, był mniej rozpaczliwy niż płacz dzieci, domagających się odrobiny kartoflanki, czy bezgłośnie skargi tych, których głód już zalał i osłabił — tak, że nie podnosili się z legowisk. Te mury i kominy przypominały przecież czasy, kiedy zarabiano się na większy czy mniejszy kawałek chleba. Te mury pozwalały podtrzymać się nadzieję, że jeszcze będzie i praca, i chleb.

Tymczasem jednak tylko widzeńska fabryka mogła urzeczywistnić te nadzieje. W ciągu kilku dni po ogłoszeniu kapitulacji Niemiec robotnicy znieśli do fabryki wszystkie ukryte części maszyn i sztuki towarów, oddane im na przechowanie. Rzucając je w składzie fabrycznym, z radością obserwowali rosnące sterty, bo to miał być przecież kapitał na zakup bawełny i węgla, koniecznych dla uruchomienia fabryki.

W pierwszych dniach grudnia rozeszła się wiadomość, że połowa widzeńskiej przedalnię może już na nowo podjąć pracę. Tłumy pod fabryczną bramą rosły i gestniały. 13 grudnia cała ulica Rokicińska była zapchana mrowiem ludzkim tak, że — jak opowiadają uczestnicy tych zajść — można było po głowach bez trudu przejść od Wodnego Rynku do mostu kolejowego na Widzewie. Część tłumy, około półtora do dwóch tysięcy ludzi, wdarła się przez wyważoną bramę na dziedzińce fabryczny. Wnoszono okrzyki, domagając się wyłaty zasilków, sprzedaży obiecanych resztek i wyrzucenia z fabryki najbardziej znienawidzonych urzędników — Niemców, którzy występowali się okupantom. Konkretnie padły trzy nazwiska: kierownika wydziału energetycznego — Paula Wagnera, oraz prokurentów — Otto Steigerta i Edmunda Schutza.

Tłum, jeśli nawet działa w dobrych intencjach, zawsze jest groźny, ale szczególnie groźny jest wtedy, gdy głód odbiera ludziom rozsadek. Oskar Kon, powiadomiony o zajęciach, w obawie, że może dojść do poważniejszych rozruchów, przybył osobiście na teren fabryki.

Dziwne to były czasy i temu, kto ich sam nie przeżył, trudno w to uwierzyć, ale Oskar Kon cieszył się wtedy dużym autorytetem wśród widzeńskich robotników. Legendy krążyły o tym, jak to Kon narażał swoją głowę, by ocelić z rąk okupanta warsztat pracy dla tysięcy ludzi.

Dyrektor Kon uchodził wtedy nieomal za „swojego”. Wiedzano, że właścicielem fabryki był mityczny włoski baron — Tanfani. Pamiętano o prześladowaniach, jakich doznał Kon za rządów najbardziej znienawidzonego właściciela fabryki — Kunitzera i jego pupila, Wünscheho, którym robotnicy widzewscy tak samo gardzili, jak on nimi.

W czasie wojny, a szczególnie w jej końcowym okresie, Kon w rozmaitych wypowiedziach dawał do zrozumienia robotnikom, że sam uważa się tylko za pracownika Widzeńskiej Manufaktury, i że bardziej leży mu na sercu ocalenie fabryki, od której zależy egzystencja całej widzeńskiej dzielnicy, kilkudziesięciu tysięcy ludzi, oraz „jego własne” w tej fabryce stanowisko, niż interes jej właściciela — obcokrajowca.

Z ambony gloryfikował Oskara Kona proboszcz widzeńskiej parafii, ksiądz kanonik Matczyński. Dawał do zrozumienia, że w tych ciężkich czasach potrzebny jest widzeńskiej fabryce dobry kierownik, z dużym doświadczeniem i praktyką, energiczny i przy tym rozsądny, umiejący zadbać o przyszłość.

W całej tej propagandzie chodziło przede wszystkim o to, by skłonić ludzi do demontażu i ukrycia części maszyn i towarów, co było dość ryzykowne ze względu na represje karne ze strony władz okupacyjnych. Na pewno większa część robotników, narażających swoją skórę, o tych represjach nie myślała, było jednak wielu takich, dla których te zachęty odgrywały poważną rolę. Te zabiegi jednak, niezależnie od ich głównego celu, miały jeszcze dodatkowy skutek: fakt, że Oskar Kon liczył się z robotnikami, stara się o dobrą opinię i w ich oczach, daje do zrozumienia, iż chętnie by rzucił fabrykę, ale z ich woli, stwarzał wokół jego osoby atmosferę zaufania. W kategoriach myślenia widzeńskich robotników, nawiązków do kilkudziesięciu lat do innego traktowania, nie można go było nazwać „fabrykantem”. Był raczej — jak już wspominaliśmy — nieomal „swoim”.

Kiedy więc wystąpił przed tłumem, słuchano go w milczeniu i starano się zrozumieć jego argumenty. Oskar Kon mówił krótko i treściwie: wiadomo, że sytuacja jest ciężka, i w Łodzi, i w całej Polsce, że oku-

panci doszczętnie obrabowali kraj. To prawda, że na Widzewie perspektywy są nieco lepsze niż gdzie indziej, a to głównie dzięki temu, że setki robotników z narażeniem własnego życia pomagały mu ocalić maszyny i trochę towarów. Ale to nie znaczy, że już jest dobrze, i że można w najbliższych dniach uruchomić chociaż część fabryki. Dalej nie ma ani funta bawełny i ani funta węgla.

On rozumie, że jest głód i wie, co to znaczy. Ale gdyby nawet otworzył składy i wydał wszystkie znajdujące się tam towary, to nie starczy tego nawet dla połowy ludzi na Widzewie. Z drugiej strony wydanie tych towarów odroczyłoby poważnie termin uruchomienia fabryki — są przecież przeznaczone na zakup bawełny i węgla. Trzeba się wspólnie naradzić, co wypada zrobić w takiej sytuacji.

Obrady z delegatami przeciągnęły się kilka godzin. Zaczął od sprawy najbardziej drażliwej, ale zarazem i najmniej istotnej w tej chwili. Podziela zdanie robotników, że znienawidzeni Niemcy, którzy tak gorliwie wysługiwali się okupantom, powinni być wydalen. Na to jednak, by kogoś ukarać, trzeba mieć w ręku dowody, a tych dowodów na razie brak. Poza tym ich współpracą z okupantem nigdy nie posunęła się tak daleko, by zaszkodzić interesom firmy, chociaż — być może — zaszkodzili poważnie wielu robotnikom.

Delegaci muszą jednak przyjąć do wiadomości, że wojna się skończyła, a zatem sto-

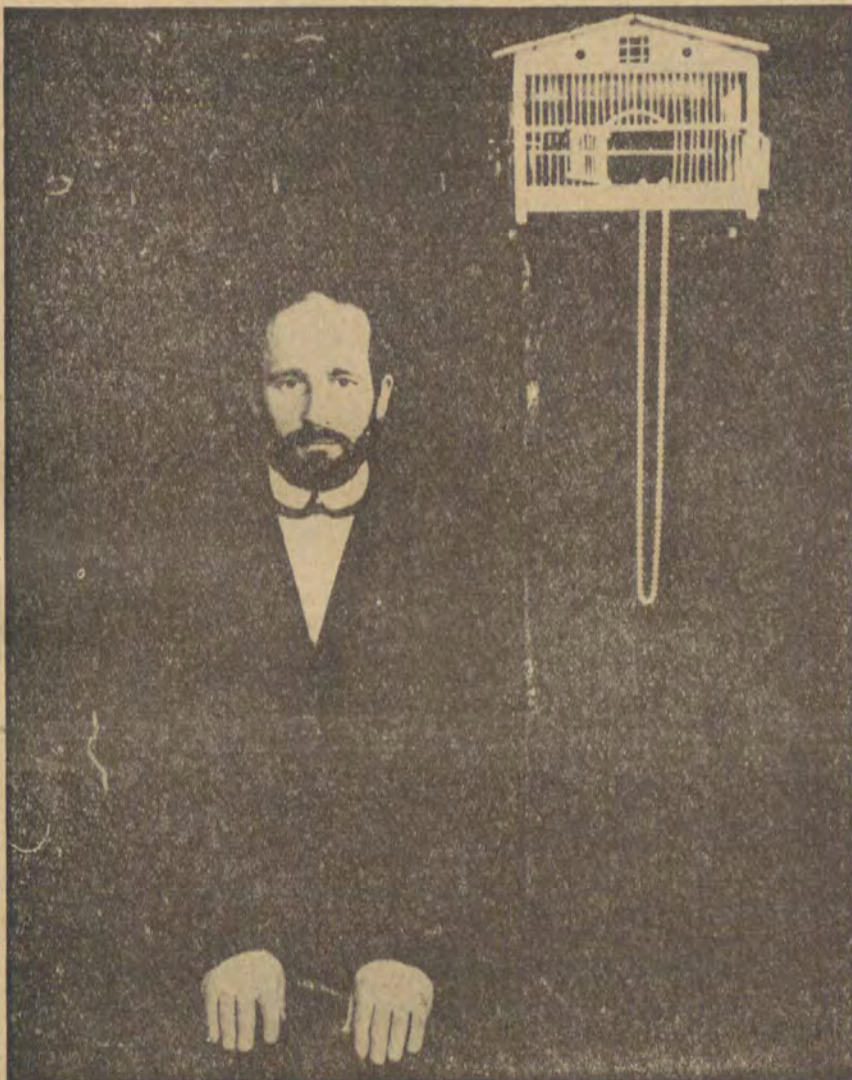
prosi także delegatów do siebie na dzień jutrzejszy, po południu, gdy zorientuje się na jakie wpływy pieniężne może liczyć, aby ustalić z nimi wspólnie terminy wypłat i wysokość zaliczek.

Wróciwszy do oczekującego wciąż tłumy, część delegatów nie chciała czy nie potrafiła mówić. Inni powtórzyli treść oświadczenia Kona, nie dodając własnych komentarzy. Tłum jednak pomału zaczął rzędnąć. Może to autorytet Oskara Kona był tak duży, że mu wierzono i godzono się czekać, a może po prostu przeważało zmęczenie wielogodzinnym wystawianiem na mrozie.

* * *

W dwa dni później, na posiedzeniu zarządu, Kon referował sytuację. Z jego sprawozdania wynikało, że mimo chwilowego zaogrodzenia sprawy, należy się spodziewać dalszych, coraz ostrzejszych wystąpień. Udało się raz, może uda się jeszcze raz, ale wątpliwe, czy za trzecim razem robotnicy dadzą się wyprowadzić z fabryki jak łagodne baranki.

A następne starcia są nieuniknione. Panowie Steigert, Schutz i Wagner są zaśluzonymi i wioletoleńmi pracownikami firmy, którzy na swoich eksponowanych stanowiskach nigdy nie zawiedli zaufania zarządu. Zwolnienie ich byłoby niesprawiedliwością, a także poważnym błędem taktycznym. Oznaczałoby to dopuszczenie robotników do ingerencji w sprawę zarządzania fa-



brakę. Takie ustępstwa pociągnęłyby za sobą niewątpliwie nowe żądania ze strony robotników, prowadziłby więc nie do złagodzenia, lecz do zaostrzenia sytuacji.

Sprawa resztek jest wysoce drażliwa. Wobec braku na rynku jakichkolwiek artykułów pierwszej potrzeby, należy się spodziewać, że za kilka tygodni osiągną cenę dwukrotnie wyższą niż w chwili obecnej.

Zeby nie przeciągać struny, należy przystąpić do wypłaty zasilków. Trzeba jednak te wypłaty prowadzić z myślą o ogólnej sytuacji, to znaczy pertraktować o wysokości i terminy kolejnych zaliczek tak, by ciągnąć sprawę jak długo się da.

* * *

Prawie trzy miesiące trwały pertraktacje i wypłaty zasilków. Oskar Kon traktował delegatów nieomal jak zarząd Towarzystwa Akeyjnego Widzeńskiej Manufaktury „Heinzel i Kunitzer”. Związał się ze swoich kłopotów związanych z uruchomieniem fabryki, zaszęgał nawet porad. Za to nie mówiło się nie o sprawie zwolnienia znienawidzonych Niemców i na coraz dalszy plan schodziła sprawa sprzedaży resztek robotnikom, którzy przechowywali towary i części maszyn w ostatnich miesiącach wojny.

Nie znaczy to wcale, że o tych sprawach zapomniano. Nie wspomniano zaś o resztkach w obawie, by nie przerwała się drobniutka kaparna zaliczka.

Po pięciu latach nieobecności baron Tanfani pojawia się w Łodzi. Wraca w kwietniu razem z Oskarem Konem. Uzyskali na wyjątkowo dogodnych warunkach kredyt w Banca Commerciale Italiana do wysokości 200 tys. funtów sterlingów, co w ówczesnej relacji stanowi około 900 tys. dolarów. Zakupił także bawełnę i mogą się spodziewać pierwszych dostaw za kilka tygodni.

Ten zakup bawełny pozostał tajemnicą dla bardzo wąskiego grona członków zarządu. Bowiem na kilka dni przed powrotem Tanfaniego i Kona do Łodzi gazety podały wiadomość, że statek wyładowany bawełną, stanowiąca dar polonii amerykańskiej dla głodujących rodaków, jest już w Gdańsku.

W związku z tym pan baron Tanfani i

dyrektor Kon proszą wszystkich widzeńskich robotników na wiec, który ma się odbyć na dziedzińcu fabrycznym w parę godzin po ich powrocie do Łodzi. Wiadomość, podana ustnie przez delegatów, błyskawicznie obiega całą dzielnicę. Przed upływem godziny ulica Rokicińska znowu czerni się tysiącami głów ludzkich. Tłum nie jest mniejszy niż wtedy, w grudniu.

Baron Tanfani jest podobno wielkim tchórzem, a najbardziej boi się robotników. Pewnie dlatego, że ich wcale nie zna i rzadko ich widuje, a i to z daleka. Tym razem ani baron, ani Oskar Kon, nie boją się tłumy. Mają doskonałe wiadomości.

Baron nie zna języka polskiego. Mówi po niemiecku, a tłumaczy Thölke. Jego akcent jest fatalny, robi straszliwe błędy w polskiej składni i gramatyce, teraz jednak nikogo to już nie razi — czysty miód płynie z jego ust.

Ludzie na dziedzińcu przekazują sobie każde słowo, żeby i ci, którzy stoją dalej, i ci na ulicy, od razu wiedzieli. Baron mówi, wskazując szerokim gestem ręki na stojącego Oskara Kona.

— Opowiadał mi pan dyrektor Kon o bohaterskich czynach naszych robotników — tak powiedział naszym — Jestem wzruszony i gorąco dziękuję za wasze bohaterstwo, które pomogło ocalić nasz wspólny warsztat pracy. Nie widzę powodu, dla którego nie miałaby zostać dotrzymana obietnica pana dyrektora Kona. Osobiście zarządzałem, by od jutra zacząć wydawanie resztek. Należność będzie odliczana z zarobków, jak fabryka ruszy, a mam nadzieję, że ruszy niedługo.

Jeszcze podziękował robotnikom i panu dyrektorowi Konowi, ścisłając mu serdecznie dłoń, i poprosił go, żeby mówił dalej.

Kon potwierdził, iż jest szansa, by fabryka już za kilka dni ruszyła. Chodzi tylko o surowiec, a bawełnę przywiózł pan Paderewski w darze od Polaków w Ameryce. Wprawdzie on za granicą zamówił już duże partie bawełny, ale wobec powojennych trudności transportowych nie należy się tych dostaw tak szybko spodziewać. To może trwać dwa, a nawet i trzy miesiące. Wypadałoby więc wysłać delegację do Warszawy w celu złożenia premii i wyrażenia uznania i podziękowań za jego wysiłki poniesione w imię uzdrowienia stosunków politycznych i gospodarczych, przy okazji zreczenie wspomnienia, że Widzew czeka na bawełnę. Firma pokryje wszystkie koszty wyjazdu dwudziesto- czy trzydziestuosobowej delegacji. Trzeba tylko wybrać ludzi statecznych, poważnych i powszechnie szanowanych...

W Warszawie Paderewski niezwykle serdecznie przyjmuje delegację jednej z największych fabryk w Polsce, która przysłała mu złożyć hołd za jego patriotyczną postawę i podziękować za jego pośrednictwem rodakom w Ameryce za to, że w tych ciężkich czasach nie zapomnieli o głodującym ojczystym kraju. Amerykańscy reporterzy robia zdjęcia: delikatna dłoń największego pianisty świata ściska wypracowane ręce zasłużonych robotników Widzewa, którzy bohatercko uratowali swoją fabrykę przed dewastacją; Ignacy Paderewski bezpośrednio u robotników zasięga opinii o sytuacji w kraju; Paderewski poklepuje robotników po plecach amerykańskim zwyczajem. „My friend” — brzmi tytuł tego zdjęcia. Scenę tej przygody się z rozczuleniem ksiądz w sutannie, który ani w ciężkich, ani w radosnych chwilach nie opuszcza swoich parafian.

Delegacja tłumaczy premierowi: bawełna i węgiel dla Widzewa, to chleb i praca dla ośmiu tysięcy ludzi. Z rodzinami stanowi to niemal całą ludność Widzewa, który jest jedną z największych dzielnic łódzkich. Uruchomienie Widzewa podziata jak transfuzja krwi dla organizmu całego miasta.

Paderewskiemu nie trzeba tego tłumaczyć. On sam wie znacznie więcej. Łódź jest najgroźniejszym punktem zapalnym w chorym organizmie państwowym. To jest największe zmasowanie głodnego proletariatu w kraju. Jeżeli Polsce grozi rewolucja bolszewicka, to jej początki należy spodziewać się w Łodzi. Uruchomienie Widzewa jest koniecznością polityczną. Dzielić bawełnę nie ma sensu bo pozostałe dwa największe kolosy łódzkie, zakłady Scheiblera i Poznańskiego, są donierem w trakcie montażu podstawowych oddziałów. Paderewski ma dwa cele przed sobą: zjednoczyć politycznie kraj i ochronić go przed rewolucją bolszewicką.

Widzew otrzymuje więc całą bawełnę i w kilka dni potem na bocznice kolejowa fabryki wjeżdża również pierwszy pociąg z węglem przeznaczonym dla Łodzi. To jest sukces większy chyba niż zdobycie bawełny, chociaż z tamtym związane. Śląskie kopalnie są przecież także zdewastowane. Węglowa spekulacja rozszała się bardziej niż spekulacja chlebem. O połowę tego transportu prosił Poznański, ale go nie dostał. Obiecano mu węgiel za dwa miesiące. Trzeba było przecieć dać węgiel tej fabryce, która ma już surowiec.

Przy wtaczaniu pociągu z węglem na bocznice widzeńska było sporo kłopotu. Kilka godzin wcześniej nadeszła z Bremy bawełna zakupiona przez Kona. Nie zdążyła jej jeszcze rozładować i wagony blokowaly bocznice. Zmobilizowano więc całą fabryczną straży pożarną do pilnowania pociągu z węglem, który przez całą noc czekał na wolny wjazd do fabryki.

Wiele innych fabryk mogło już w tym czasie uruchomić część swoich maszyn. Poznański miał prawie gotową do uruchomienia przedalnię, ale nie miał jeszcze kredytów na zakup surowca za granicą. Pomniejszym fabrykantom udało się uratować po kilka lub kilkanaście krosien, mogli więc uruchomić je dla przerobu przedrzy otrzymanej od Poznańskiego.

Lecz możliwość ta została przekreślona. Widzew zabrał i bawełnę i węgiel. Przyszło pół roku był monopolista w Polsce i wyciągnął z tego odpowiednio zyski. Tych parę miesięcy, w czasie których można było nieomal dowolnie dyktować ceny za swoje towary, miało większą wartość niż kilka lat normalnej produkcji.

Fragment książki „Recepta na miliony”, która ukaze się w najbliższych dniach nakładem „Książki i Wiedzy”.

Młodzi • Młodzi • Młodzi • Młodzi • Młodzi

KAZIMIERZ ŚWIEGOCKI

O PIELGRZYMACH NA PARNAS

Pisano już wiele o tym, że ogromna powódź poetycka, jaka ostatnio nawiedziła Polskę, jest zjawiskiem z punktu widzenia socjologicznego wielce pociesającym, że to w znacznym stopniu rezultat polityki kulturalnej socjalistycznego państwa, wyraz „nadwyżki” kulturalnej społeczeństwa, etc. etc. W wielkiej masie piszących widzi się przede wszystkim dobrych odbiorców sztuki literackiej, a także wrażliwych na piękno słowa przyszłych nauczycieli języka polskiego.

Zastanawia się warto, czy jest to zawsze słuszny pogląd. Bo chyba wątpić w to wypadnie, jeśli nawet pominąć „tworzących” kolejarzy, kioskarzy, pocztowców itp., a pod rozważanie wziąć ludzi wykształconych. Tym w przeciwieństwie do poprzednich udaje się niekiedy nawet wydrukować coś w dodatku niedzielnym lub w powiatowym tygodniku, a bywa też, że co obrótniejsi wydają własne tomiki w autentycznych wydawnictwach. Jest się więc nad czym zastanowić.

Piszą studenci WAM-u, politechniki, filologii polskiej (a ostatni nade wszystko), zrzeszeni w grupach grupkach przy organizacjach, zrzeszeniach, zakładach pracy, bractwach; w grupach tworzonych dla pomnożenia splendoru owoych, a ku pokrzepieniu serc strapiionych młodzieńców i już nie-młodzieńców, bo i tacy się tam chętnie garną. Właściwie i tych by można zbyć milczeniem, gdyby idąc ze śmiertelną powagą na Parnas, nie rzucali nauki i pracy do uzyskania jakiegoś wyróżnienia na środowiskowym turnieju jednego wiersza, lub po wydrukowaniu się w „Gazecie Ziemi Sieradzkiej”. Postaram się teraz dokonać ich schematycznego podziału i charakterystyki.

Są wśród nich tacy, którzy potrafią „płodzić” w przerwie między jednym a drugim wykładem na uczelni, czy w oczekiwaniu na podanie obładu. Tacy noszą ogromne teki z maszynopisami i czytają swoje twory komu się da i ile się da. Dedykują je dziewczętom wrażliwym podobno na tego rodzaju piękność, a jeśli straca u nich uznanie i zainteresowanie (większymi są niekiedy poetami niż mężczyznami), wycierają dedykacje i wpisują na to miejsce imiona innych, bardziej godnych.

Inni piszą raczej z rzadka, ale za to jednym wierszem potrafią obdzielić setki znajomych, zanudzić dziesiątki redaktorów, zaskarbić sobie dożgonną miłość. Jedni i drudzy spotykają się z odbiorcami poezji na tzw. wieczorach autorskich, gdzie żadna wiedza tajemnej publiczności przy matce czarnej, niekiedy przy świecach i prawdziwym fortepianie, zastanawia się nad ostatecznymi racjami poezji, pytając: „Cóż jest poezja?”. Poeci zaś na to: „Poezja to jest poezja” i tak się toczy dialog twórcy z odbiorcą na temat względności piękna, wzniosłości sztuki itp. Odbiorcy czasem, ci mniej uczeni, pytają, co chciał autor przez to powiedzieć, a ten rzecz jasną odpowiedź wprost przypowieści o młodzieńcu duńskim i „reszcie milczenia”, o tym jak trudno mu mówić o rzeczy nie dającej się nijak wyrazić, a tylko wierszem takim właśnie jąki napisał.

Należy wymienić jeszcze ich trzeci rodzaj. Są to gniewni!!! Czytają rzadko, aby nie stracić własnej tożsamości, oryginalności. Zaprzeczają wszystkiemu co stare i co nowe, czytają za to całymi godzinami... siebie. Takie jakiegoś poetyckiego perpetuum mobile.

Tych jednak jest niewiele. Na ogół bowiem młodzi omawiani tutaj czytają dużo, za dużo. Pochłaniają wszystkie niemal tomiki debiutantów (bo to niby nowoczesność poezji mierzy się wiekiem jej twórców, a o nowoczesność głównie chodzi) w polewiewce mają zaś poczciwego Reja, Kochanowskiego, Mickiewicza, nienawidzą Konopnickiej, uwielbiają Norwida, bo według ostatnich doniesień krytyki literackiej jest genialny nowoczesny. Czasem sięgała do Biblii, a czasem do niej nie sięgała, aby nie być posądzonym o holdowanie modzie. Ale błędzi, kto myśli, że nie orientują się w aktualnej koniunkturze literackiej. Wiedzą doskonale, co „dzie” wiedza kiedy można pisać w stylu Różewicza, a kiedy w stylu Bordońca, aby dotrzymać kroku nowoczesności, kiedy pisać wiersze na tematy religijne, a kiedy o hucie Hortensja, aby dostać wyróżnienie, albo o Placu Wolności, by wydrukować w Panoramie (oczywiście łódzkiej).

Jest ich mnóstwo. Dziesiątki, setki a w skali krajowej tysiące. Są silni, zwardli, bojowi, atakują redakcje i wydawnictwa, organizują sobie wieczory autorskie zazwyczaj płatne w granicach 150-300 zł. Brawo organizacje pokrywające te koszty! Polska wkrótce stanie się królestwem, gdzie najłatwiej o przytułek dla młodych piszących i cierpiących dusz. Takich czasów zaisie nie było w naszej ojczyźnie, tylko piszących i tyle mecenatów naraz. Od kiedy to organizacje polityczne i zakłady pracy przybrały charakter charytatywny? Komu te pieniądze i na co ofiarowują? Ludziom, którzy mają 18-22 lata i w dorobku

swoim trochę snów o potędze? Tak, sny to oni mają heroiczne. Sni im się ten Parnas i śni, i cała energia swą, a nieraz może nawet i talent traca na rozmyślanie, jakby tu turniejek jednego wiersza wygrać, wydrukować, wydać, wydać wydać książkę! A nie jest to wcale takie trudne przy nadzwyczajnej przychylności naszych wydawnictw.

Tym się bowiem wydaje, że papier zadrukowany w formie książkowej jest zawsze więcej wart niż czysty, i że pieniądze, na które pracują ciężko miliony ludzi można rzucać na śmietnik, byleby tylko wykonać plan wydawniczy. Jaka rola wychowawcza spełniają wydawnictwa i owe zakłady charytatywne w stosunku do tej młodzieży? Poglębiają w niej tylko sny o sławie same w sobie niby nieszkodliwe, może nawet chwalebne, ale jeśli celem jest nawiązanie do sztuki, a nie rzetelna robota artystyczna, nie poezja, to źle jest i potępić należy tych wszystkich, którzy do tego pośrednio się przyczyniają. Zał i pieniądze, i młodych ludzi studiujących, ubiegających się latami o studia, pracujących. Zał ich, bo mogliby się społeczeństwu na coś przysłużyć. A tak nie będzie z nich dobrych nauczycieli literatury, bo jak wspominałem, czytają przeważnie siebie lub byle co, a stroną od książek koniecznych do ogólnej kultury literackiej, na trudnych się nie zna, bo nie mogą się znać. Twierdzą, że polonistyką zabija talent, a ja mówię, że zły baletnicy spódnica zawadza, a polonistyką nie uczy nisz wierszy, tylko daje solidną, niezbędną kulturę filologiczną, że każdy piszący zdany jest na siebie, że nie pomoże nie przyszłowiowy „starszy brat”. Stare to prawdy, jak stara jest literatura.

Stawiam więc na nowo pytanie, czy rzeczywiście młodzi amatorzy pióra wyrosną na dzielnych nauczycieli literatury, walczących z typym belferskim podejściem do niej. Czy jeśli wystąpi do walki z tepota belferska, sami w nią nie wpadną, skoro za młodu więcej pisali niż czytali?

Czy istotnie walkę te podejmą, czy im to wcześniej nie wywieje z głowy, czy w ogóle kiedykolwiek mieli to na uwadze — przecież celem była sława, poezja zaś środkiem do celu, czyli figę z makiem, ich obchodziła. A kiedy upada cel, dewaluują się środki, które do niego wiodły. Zgina sny o wielkości, zobojętnieje sztuka, trzeba się będzie ubiegać o nowe mieszkanie „i cztery kółka”. Ale przedtem warto pomyśleć o popiarnym zawodzie Filologia polska tego nie zapewniła, pisanie wierszy nawet przeskadza.



DOROTA CHRÓŚCIELEWSKA

Śmierć Baczyńskiego

„...dalej jakieś szare
wygląda w perspektywie sinej
Miało Stare”
SŁOWACKI — „USPOKOJENIE”

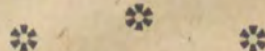
Śmierć bywa cieńsza niż opłatek
i ostrą cienie niżli słowo
które w karabin Krzysztof Kamil
ładował
stojąc w oku okna
w śmierci umacniał strzał
by celniał
a ona była jak tza wierna
zanim pod kciukiem swicim spał
młodość jak drzewo sandałowe
nim w oku okna obrysował
Starówkę w perspektywie strzału

JERZY JARMOŁOWSKI

Zapis nam wszystkim doskonale obojętnym

palenie ludzi pojedynczo
a co gorzej grupami
dowodzi całkowitego braku wyobraźni
i umiejętności abstrakcyjnego myślenia
reagujemy na coraz silniejsze bodźce
samo serce
jeszcze ciepłe
śliszkie
topić powoli w benzynie
to już co nieco
albo oczy
oko przy oku
wyłożyć na startowiskach
to już prawie że coś
gdyby tak jeszcze
zapłonęło nad ziemią
czyjeś wyrwane krocze
to kto wie...

ADAM KOŁSUT



Wtedy się zmieniły chmury w kamień
i stanę na nich białe konie
kolcami róży zgaśnie słońce

i stół odejdzie od mych dłoni
krzesło posłusznie pójdzie za nim
do okna zaś podejda deszcze
rozwiną drzewa marmurowe

a ty nie pozwól odejść dłoniom

Łódź, 19. II. 1967.

SŁAWOMIR
ŚWIONTEK

„Pierwszy dzień tygodnia”

„Pierwszy dzień tygodnia” jest opisem jednego dnia z życia członków szceniobowej miejskiej rodziny. Właściwie mógłby to być mój lub bardziej ciekawy reportaż, gdyby nie fakt, że opisane wydarzenia i perypetie, jakie przeżywa bohaterowie, nie były tyl-

ko dla autorki pretekstem dla narysowania pewnych ujęć syntetyzujących postaci, syntetyzujących ich życie, ich indywidualności. W takim podejściu do sprawy korzysta Ostrowska z wypracowanych już i w pewnej mierze skonwencjonalizowanych we współczesnej prozie techniki narracyjnych. Powieść „Pierwszy dzień tygodnia” pisana jest metodą tzw. punktów widzenia. Przedstawione zdarzenia i postaci prezentowane są czytelnikowi poprzez pryzmat osobowości każdego z bohaterów po kolei. Osiąga w ten sposób autorka relatywizację opisywanych faktów, dając zarazem ich obraz możliwie pełny poprzez naświetlenie ich z kilku różnych stron. Konsekwencja takiej metody jest zazwyczaj „zewnetrzne” wywołanie się narra-

tora ze świata przedstawionego, pozorne ograniczenie wiedzy o przedmiocie swojego opisu, unikanie ingerencji autora w świat przed siebie tworzone, odżegnywanie się od oceny tego świata i pozostawienie owej oceny czytelnikowi. U Ostrowskiej jednak wybrane pewnej metody warsztatowej na płaszczyźnie techniki powieściowej nie idzie w nazwę z wyzyskaniem możliwości i konsekwencji takiego wyboru. Tak na przykład immanentnie związana z techniką „punktów widzenia” relatywizacja oceny bohaterów i ich postępowania, której się z założeniem niejako z góry schematem postaci pozytywnej i negatywnej, a więc z ingerencją autorki w obręb świata mającego być tylko konstrukcją formowaną za pośrednictwem „widzeń” poszczególnych bohaterów.

Ingerując w ten sposób obdarza autorka pewnymi swoimi bohaterów znakiem minus (karierowicz-maryżciel Józef czy puszczalska o stałym charakterze Krystyna), a drugim znakiem dodatnim (troszadna działaczka Iwona oraz literatko utalentowana Bożena). W ten sposób zastosowana w „Pierwszym dniu tygodnia” technika narracji, z natury swojej implikująca zawsze pewną „nieświadomość” autora o świecie kreowanym, stoi w tej książce w sprzeczności z narzucaniem przez autorkę własnej wizji i oceny bohaterów, podczas gdy w założeniu wizja ta miała być kształtowana poprzez wzajemne określanie się postaci. Być może że ten istniejący w powieści paradoks z faktu dominancji w tym opisie intencji reporterskich nad warsztatem powieściopisańskim...

Niesłuszne byłoby jednak sądzić, że Ostrowska nie panuje nad własnym warsztatem. Omówiona powyżej technika „punktów widzenia” zastosowana i rozwinięta jest w jej powieści w sposób dość konsekwentny. Poszczególne rozdziały tej książki, poszczególne jej całości kompozycyjne, przyporządkowuje każdemu z bohaterów z osobna, to znaczy — każdy rozdział pisany jest jak gdyby z punktu widzenia jednej z postaci. Toteż nie dziwnego że w powieści mamy do czynienia ze szczególną dominacją mowy pozornie zależnej. Tego rodzaju kompozycja znajduje swoje konsekwentne rozwinięcie w ostatniej rozdział omawianej książki, gdzie następuje bezpośrednie przeżycie mowy pozornie zależnej w urywkowo potraktowane fragmenty monologu wewnętrznego

postać. W ramach owych partii monologicznych zostaje doprowadzona do końca akcja powieści, zostają rozwiązane konflikty albo dana jest czytelnikowi nadzieja na możliwość ich rozwiązania. Jeden z wielu zwyczajnych dni zwyczajnych bohaterów się kończy. Jutro będzie nowy dzień, tak samo powszedni, tak samo zwyczajny.

A jednak każdy dzień — zdaje się mówić autorka — jest w jakimś sensie ważny. Ważny dlatego, że jest rezultatem, że jest konsekwencją wszystkich dni, które były przed nim, konsekwencją wyborów, jakie człowiek dokonał dotychczas. Z tego powodu Ostrowska, opisując właściwie tylko jeden dzień z życia swoich bohaterów, daje nam poznać całe ich życie. Monolog wewnętrznego bohatera, będący zarazem wspomnieniem z ich życia, posiada swoje uzasadnienie właśnie w tym, że przedstawione w nich wypadki czasu przeszłego, determinują takie a nie inne postępowanie postaci.

I jeszcze każdy dzień — zdaje się mówić autorka — jest w jakimś sensie ważny. Ważny dlatego, że jest rezultatem, że jest konsekwencją wszystkich dni, które były przed nim, konsekwencją wyborów, jakie człowiek dokonał dotychczas. Z tego powodu Ostrowska, opisując właściwie tylko jeden dzień z życia swoich bohaterów, daje nam poznać całe ich życie. Monolog wewnętrznego bohatera, będący zarazem wspomnieniem z ich życia, posiada swoje uzasadnienie właśnie w tym, że przedstawione w nich wypadki czasu przeszłego, determinują takie a nie inne postępowanie postaci.

Ewa Ostrowska: „Pierwszy dzień tygodnia”. Wydawnictwo Łódzkie, 1966.

Młodzi • Młodzi • Młodzi • Młodzi • Młodzi

O FESTIWALU POEZJI

Rozpoczęta przez nas dyskusja na temat roli i miejsca II Ogólnopolskiego Festiwalu Poezji w Łodzi wkroczyła w stadium zasadnicze. Dziś przedstawiciel „Odgłosów” rozmawia ze znakomitymi krytykami Arturem Sandauerem i Julianem Rogozińskim. Przedmiotem ich wypowiedzi jest nie tylko problem festiwalu, ale zagadnienie społecznej funkcji poezji w ogóle.

Rozmawiamy
z Arturem
Sandauerem

CDT POETYCKIE

ODGŁOSY: Jak ocenia Pan społeczną sytuację poezji w Polsce i jaki wpływ na jej rozwój oraz społeczny odbiór mają tak liczne w naszym kraju festiwale poezji?
ARTUR SANDAUER: Jeżeli festiwale są najczęściej niewypałem, to dlatego, że mają adres nazbyt środowiskowy, tak, jak gdyby poezja była wyłącznie sprawą

piszących. Poezja dzisiejsza nie tylko entuzjazmu, ale nawet skandalu wywołać nie potrafi. Sądzę, że niejednym z poetów dzisiejszych marzy o tym, aby być wygwizdany, jak to się zdarzyło kiedyś Tuwimowi na wieczorze autorskim w Drohobyczu. Być wygwizdany — to przecież też rodzaj sukcesu. A już zupełnie niewiarygodna wydaje się tak spontaniczna reakcja, jaka spotkała w 1936 r. na Kongresie Kultury Broniewskiego, kiedy to publiczność dokończyła za niego recytacji „Zagłębia” i na pytanie „Goto-we?” odrzyknęła: „Goto-we!”.

Mógłby ktoś powiedzieć, że nasza poezja jest trudniejsza niż tamta. Trudna — to jednak coś innego, niż nudna. Otóż, niestety, jest ona najczęściej nudna — jak flaki z olejem. Podkreślam, aby nie było nieporozumień: nie jestem przeciwnikiem poezji trudnej. Ale i ta powinna sobie przecieć z czasem zdobywać publiczność. A u nas? Jeżeli o młodszych poetów chodzi — chyba tylko twórczość Szymona Borskiej ma szerszy rezonans społeczny. Niepokoją mnie pewne objawy technicznego — śmiałym rzecz — zacofania poezji. Poeci zbyt rzadko sięgają do masowych środków przekazu: do radia, telewizji, filmu, płyty. Równie niepokojący jest prawie zupełny zanik poetyckiej noweli. Wyjątek tu stanowi — o dziwo! — Białoszewski.

ODGŁOSY: Jakie są więc przyczyny tej anemiczności zjazdów poetyckich bezpośrednio, a pośrednio całej poezji i dlaczego festiwale, zdaniem Pana, nie spełniają swojej roli?

ARTUR SANDAUER: Wynika to z ogólnych niedomagań naszego życia literackiego, z braku ugrupowań i prądów umysłowych. Nasze pisma to swoiste literackie CDT. Wszyscy piszą wszędzie i wszyscy się nawzajem mało zauważają. I nie niski poziom publiczności ani ograniczenia cenzuralne są temu winne.

Celem społecznych festiwalu powinno być rozszerzenie odbioru poezji. Ostatecznym miernikiem wartości jest sukces u publiczności. Nie musi on oczywiście być natychmiastowy. O pewne wartości należałoby walczyć. Od tego właśnie jest krytyka, by trudniejszym dziełom torowała dostęp do społeczeństwa. U nas, niestety, jest inaczej i znam wiele komentarzy, które są ciemniejsze od komentowanych wierszy.

Dodajmy, że niektórzy poeci zabiegają o rangę „wykłetych” i zbijają na faksie nieuznania kapitału, przerażając brak sukcesu na sukces. Ale nie każdy kogo publiczność nie chce czytać, jest eo ipso Norwidem.

Jakże więc jest w końcu z tymi festiwalami? Jak je urządzać? Otóż to, że paru znawców uzna dany wiersz za udany, nie wystarczy. Powinien się on jeszcze sprawdzić w odbiorze masowym — przed wielką salą.

ODGŁOSY: Czy pomimo tej surowej oceny festiwalu dostrzega Pan także jakieś ich aktywa?

ARTUR SANDAUER: Konkursy stanowią najlepszą okazję do wyławiania talentów. Redaktorzy rzadko czytają uważnie teksty debiutantów. Ci mogą zwrócić na siebie uwagę głównie na konkursach.

ODGŁOSY: Czy również nieprzejeżdżana jest ocena Pańska ubiegłorocznego festiwalu poezji w Łodzi i co zdaniem Pana należałoby uczynić, aby następny stał się jednak wydarzeniem w życiu kulturalnym Polski Ludowej?

ARTUR SANDAUER: Impreza zeszłoroczna była niezbyt udana. Dyskusja była mizerna — jeden do Sasa, drugi — do lasa. Poza tym — zbyt ewidentna była obrona własnych interesów; o poezji można mówić na serio tylko wtedy, gdy dyskusja ma formę seminaryjną, gdy prowadzi ją jedna osoba i na jeden temat. Stąd wniossek, że ilość nie przechodziła bynajmniej w jakość, że im mniej referatów, tym lepiej, że na dobrą sprawę powinien być tylko jeden referat, ale za to starannie przygotowany i nie informacyjny, ale teoretyczny. Słowem, mówić o wszystkim to — mówić o niczym.

Podnieść rangę festiwalu mogłoby tylko pojawienie się nowych ideologii poetyckich, które by wniosły żywy ferment w owe posiadzenia starszych panów, jakimi są sądy konkursowe. Czy to nie dziwne, że ja — sam „starszy pan” i członek sądów konkursowych — muszę nawoływać młodzież do buntu? A jednak tak powstała sytuacja w literaturze, że wszystko trzeba w niej organizować — nawet rewolucje.

Festiwale wtedy zdobędą znaczenie, gdy potrafią wyjść poza krąg specjalistów i zdobyć uwagę publiczności.

Jeśli chodzi o propozycje praktyczne; za błąd uważam tematyczne ustawianie konkursów (tzw. „wiersze o...”). Należałoby je raczej nastawić na tworzenie nowych względnie odnowienie zaniedbanych rodzajów: na wiersze-nowele, wiersze-dramaty, wiersze-filmu itp. A wreszcie: czyż — obok nagród za poezję — nie należałoby ufundować nagrody za najlepszy utwór krytyczny, poświęcony poezji?

Rozmowy przeprowadził:
KONRAD FREJDLICH

Rozmawiamy
z Julianem
Rogozińskim

JESTEM SCEPTYKIEM

ODGŁOSY: Jak ocenia Pan społeczną funkcję licznych festiwalu poezji, które od kilku przynajmniej lat organizuje się w naszym kraju?

JULIAN ROGOZIŃSKI: Mam sceptyczny stosunek do ruchu festiwalowego przede wszystkim dlatego, że ilość, mówiąc wprost, nie przechodzi w jakość. Rozmiary i rzeczywiste rezultaty tych zjazdów są nieproporcjonalne do wysiłku włożonego w ich organizację. Bardzo często są one kanałem dla najoczywistszej grafomanii. Na całym świecie przestrzega się zasady, aby w konkursach nie przyznawać więcej niż trzy nagrody, a także, aby nie było nagród równorzędnych nawet wtedy, kiedy jury nie może się zdecydować na przyznanie I nagrody. U nas przyznaje się nie tylko nagrody, ale prócz tego wyróżnienia i laurki.

Na festiwalach mamy zwykle, obok konkursów, także referaty, wokół których ma się rozwinąć dyskusja. Ale osobiście nie wierzę w skuteczność jednorazowego wykładu, mogą mieć znaczenie tylko długotrwałe rozmowy seminaryjne.

ODGŁOSY: Czy po doświadczeniach I Ogólnopolskiego Festiwalu Poezji w Łodzi podobnie ocenia Pan jego rezultaty?

JULIAN ROGOZIŃSKI: Czy dzięki festiwalom piosenki i festiwalom teatralnym mamy lepsze piosenki albo lepsze inscenizacje? Niewiele spodziewam się po wszelkich imprezach tego typu, nie widzę więc powodu, aby jakoś szczególnie wyróżniać imprezę łódzką. A jeśli sytuacja dodatkowo się komplikuje ze względu na tematykę lokalną, wtedy z jednej strony zaczyna grać rolę kryteria pozateatralne, z drugiej zaś sentymentalne. Wielka szkoda, że przy wstępnym odsiewie tekstów stosowano zbyt łagodne kryteria. Wielka ilość wierszy, które jury dostało do oceny sprawiła każdego z nas w kompletną dezorientację. W takich wypadkach wytworzyła się sytuacja, kiedy nikt się w niczym nie może pojąć i każdy myśli tylko o tym, aby jak najprędzej pozbyć się tego balastu. Było zresztą wielkim błędem, że decyzje jury zostały podjęte w ciągu paru godzin. Gdybyśmy mogli spotkać się przynajmniej po raz drugi, wówczas o nagrodach mniej by decydował przypadek.

Jeśli idzie o konkurs łódzki, to tam kandydatem najwybitniejszym, choć ominęła go pierwsza nagroda, był Kazanek, na którego wiersze zwrócił uwagę Przybos. To była jedyna, naprawdę wybitna in-



dywidualność konkursu, czego najlepszym potwierdzeniem jest złożony właśnie przez Kazanek w PIW tom wierszy.

ODGŁOSY: A gdyby się odwołać do praktyki stosowanej niegdyś na festiwalach poznańskich i nagradzać najwybitniejsze zjawisko poetyckie roku? To wpłynęłoby chyba na ożywienie ruchu literackiego w Polsce...

JULIAN ROGOZIŃSKI: Nie przypuszczam, żeby festiwale i konkursy były jakimś skutecznym sposobem wydobycia na światło dzienne talentów. Talent i tak się wydobędzie. Z konkursów wynikają natomiast niekiedy sytuacje absurdałne. Tak na przykład utalentowany Stanclik kilkakrotnie zdobywał w „wiosnach paxowskich” nagrody i wyróżnienia wszystkich stopni. Organizatorzy corocznie wydają antologię utworów stonowiących konkursowy plon tej imprezy. W każdej z nich

były wiersze Stanclika obok miernych wierszy innych debiutantów. Gdyby zamiast tych antologii od razu wydano tom Stanclika, byłoby to z większą korzyścią dla poezji.

Gdyby nawet oceniać najwybitniejsze zjawisko poetyckie roku, to i tak nic z tego nie będzie wynikać. Nie może być przecież zagwarantować jego trwałości, zwłaszcza gdy idzie o tom poetycki, wszyscy ulegamy przecież jakimś fluktuacjom aktualności. Książki nagrodzone zawsze przejmują mnie pewnym sceptycyzmem, nie potrafiłbym wyliczyć z pamięci prawie żadnego tytułu wyróżnionej książki. O nagrodzie decyduje moment historyczny, polityczny, czasem sentymentalny, a moment to coś bardzo krótkiego.

ODGŁOSY: Jak musiałyby być organizowane festiwale poezji, aby uległ zmianie Pański sceptycyzm do tej formy życia literackiego? Jak widział by Pan zwłaszcza przygoto-

wany właśnie drugi festiwal łódzki?

JULIAN ROGOZIŃSKI: Gdyby założył użyteczność takiej imprezy, trzeba by przede wszystkim zmienić jej wykonanie od strony technicznej. Jak już wspominałem, należałoby zastrzyć kryteria konkursów. Może to wyglądać absurdalnie, ale ja bym stworzył w tych konkursach jakieś rygory formalne, aby ich uczestnicy musieli się wykazać przynajmniej sprawnością językową. Na przykład konkurs na sonet czy konkurs na czterech oktawach. Nie może przecież zostać nowatorem ten malarz, który nie potrafi namalować obrazu w normach klasycznych i nie wydaje się, aby z poezją było inaczej. Do konkursu nie dopuszczałbym debiutantów, aby nie robić frekwencji. I wreszcie konkurs należałoby ogłaszać na rok przed festiwalem, z półrocznym terminem dla ubiegających się o nagrody i z takim samym terminem dla jurorów.

DROGI CZYTELNIKU! Redakcja prosi Cię o wyrażenie opinii o „ODGŁOSACH”. W naszej ankiecie zaznacz znakami plus (+) działy, które Cię interesują i które uważasz za dobrze redagowane. Znakami minus (-) zaznacz te działy, które oceniasz negatywnie.

Prosimy Cię również o inne uwagi o naszym piśmie.

Każda nadesłana ankieta weźmie udział w comiesięcznym losowaniu cennych nagród książkowych, a redakcja pomoże w lepszym zrozumieniu potrzeb czytelników Łodzi i regionu łódzkiego.

Wypełnione ankiety prosimy nadsyłać do redakcji „Odgłosów”, na adres: Łódź, ul. Piotrkowska 96.

	+	-
rozmowy i wywiady		
sprawy międzynarodowe		
zagadnienia ekonomiczne		
problemy obywatelowe		
reportaże		
opowiadania i fragmenty powieści		
poezja		
recenzje książkowe i teatralne		
film i TV		
teletony		

O czym jeszcze chciałbyś czytać w „Odgłosach”?

Nazwisko i imię : : : : :
: : : : :
wiek : : : : :
zawód : : : : :
adres : : : : :

EWA NURCZYŃSKA

Małeńka pochwała filmowego rzemiosła

Kino! Świat wielkiej magii, najkunsztowniejszej formy zaspokajania ludzkich marzeń o wielkich przygodach, mocnych wrażeniach, wielkich miłościach, radościach i luksusach życia. Kino rekompensujące niedostatki tych marzeń cieszyło się zawsze największym aplauzem swych odbiorców, szukających ucieczki od trosk i szarości codziennego bytowania. Tę prostą prawdę przyjęli do wiadomości zarówno wielcy twórcy sztuki ekranu, jak i rzemieślnicy filmowej roboty. Dziś więc trochę nie o twórcach-demiurgach, lecz rzemieślnikach, bo przecież „na nich kino stoi”, oni swymi filmami zapewniają ekranowi światła, ustępując od czasu do czasu miejsca tym, którzy chcą i potrafią wymagać od widza współczesności w wielkich dyskusjach na temat świata i życia.

Spojrzenie na historię sztuki użytkowej każe nam pamiętać, że dobre rzemiosło zawsze było w cenie. Współczesność w obliczu standaryzacji, ilości i tempa wytwarzanych produktów cenę tę jeszcze podniosła. Wracamy jednak na filmowe podwórko. Miłośnikom i kibicom rodzimej kinematografii marzą się po nocach dobrzy, polscy rzemieślnicy. W czasie ostatniej „prowracającej fali” utyskiwań na polski film jedna skarga powtarzała się w co najmniej trzech ocenach aktualnej sytuacji kinematografii polskiej (vide głos M. Kornatowskiej w „Ogłoszeniach”). Było to błądzenie o dobrą robotę, o sprawność warsztatu reżyserskiego, o odebranie prawa robienia filmów tym, którzy jako rzemieślnicy nie zdali praktycznego egzaminu.

Smutno mi właściwie przyznać się, że do przypominania tych kilku rzeczywistości skłoniły mnie filmy, o których w zasadzie w niedługim czasie zapomnę, a ich tytuły i treści mylić się będą na pewno. Dziś jeszcze pamiętam nawet, że oglądałam je wszystkie w ostatnich miesiącach w reprezentacyjnym kinie śródmiejskim „Polonia”. „Nie przysyłał mi kwiatów”, „Zamienimy się mężami”, „Niedziela w Nowym Jorku” — tytuły tyle samo filiterne, co i zachęcające do kupienia bileta na seans. A potem? Będąc nie kolorowy świat filmu rodem z fabryki snów w Hollywood.

Piękne kobiety w cudownych toaletach, przystojni mężczyźni prezentujący modę męską od pizamy począwszy, luksusowe samochody, którymi żony odwożą do pracy mężów — skromnych urzędników, urzekające urządzeniem domki jednorodzinne tudzież garsoniery za pracujących lotników, lokale, sklepy, ulice, po których spacerują tłumy radosnych, promiennych ludzi. Świat z prospektów, reklam, tygodników mody i polskich komisów ożywny! A ponieważ żywe przedmioty budzą zawsze rezerwy, więc po nasyceńcu oczu ich urkami i oddaniu odpowiedniej ilości westchnień, pomyslimy co nam się w tej całej zabawie właściwie podoba? No, na pewno Doris Day, Jane Fonda, Rock Hudson, Jack Lamonn, Rod Taylor. Wie producent holly-

woodzki komu płacić dolary za publiczność w kinie. A scenarzyści robią wszystko, by ich film podobał się wszystkim. Kino ma na to swoje recepty. Wystarczy wybrać jedną z nich, wymieścić składniki, ukształtować, zapakować i zaaplikować produkt, na który konsument czeka.

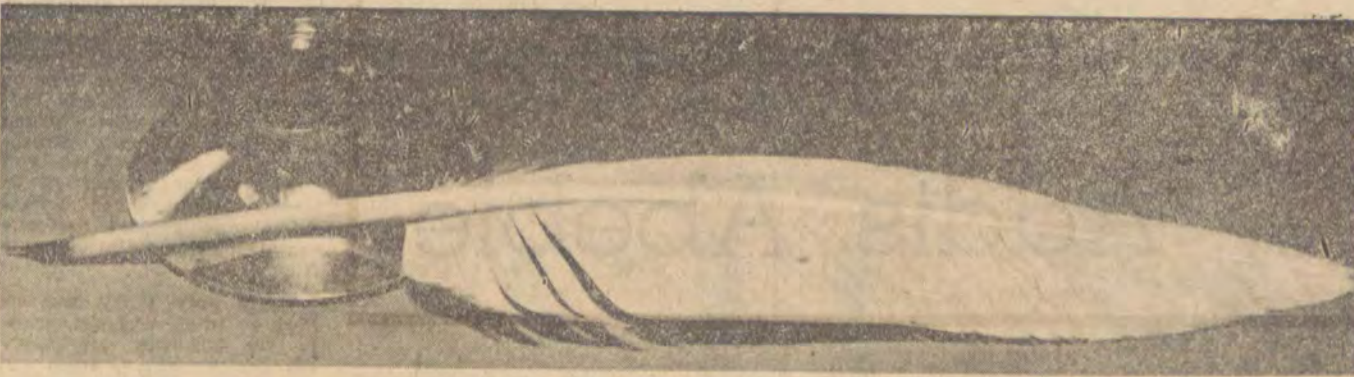
Bo przecież w gruncie rzeczy obracamy się w tych filmach w świecie schematów i stereotypów. Kino hollywoodzkie nie wychodzi nigdy poza ustalone opinie obyczajowe, poza obowiązujący w nich kodeks poglądów na pracę, na życie małżeńskie czy przedmałżeńskie, na rodzinę.

To kino nie prowokuje, nie obraża niczyich zasad moralnych. W nim zawsze będzie domagał się praw do swoich bagatelnych 15 milionów dolarów, nagrodzony milionem zostanie ten, kto bezinteresownie będzie w ich uzyskaniu pomagał, żony wrócą do swych mężów, — rozwodów nie będzie, dziewczyna znajdzie się wtedy w objęciach mężczyzny, gdy na pewno jutro zostanie jego żoną, mąż wyleczy się z hipochondrii, gdyż pomoże mu w tym uroczą żona, itd. itp.

Jeśli nawet znajdziemy w tych filmach kilka cennych diagnoz pewnych amerykańskich przywar społecznych („pigulkiomania”, „prezmysł pogrzebowy, dziactwa reklamy, kult bossa, prudencja moralna pokolenia cioci”) zatraca one swą ostrość we wszechogarniającym happy-

O co więc chodzi? Wybrzydzą się przecież na schematach w polskich komediach. Tak. Ale jest jedna małeńka różnica. Schematy i stereotypy dostrzeżone w omawianych komediach tkwią w nich organicznie, osadzone są w samej amerykańskiej obyczajowości, tkwią w naszym wyobrażeniu rozrywki made in Hollywood. Gorzej jest, gdy siedząc na polskim filmie nie możemy dopatrzeć się autentycznej polskiej obyczajowości, gdy męczymy się serdecznie współczując twórcy, bezskutecznie usiłując wypróbować skądinąd zagranicę recepty wykorzystanej przy stworzeniu na przykład polskiego music-hallu. Wniosek? Fraszka schemat, stereotyp — gdy się go już ma, trzeba go zgrabnie wkomponować w fabułę, zaaranżować kilka czy kilkanaście znakomych sytuacji, o które na przykład w komedii omyłek przecież nietrudno, napisać dowcipny i błyskotliwy dialog dbać o pointy, nadać zabawie tempo, wykorzystać w niej ulubieńców publiczności i komedia gotowa, a sukces zapewniony. Pamiętajmy jednak, że trzeba do tego znać cy „kinowej roboty”. Rzemiosło zawodowe producenta, scenarzysty, reżysera, aktorów, znajomość gustów i marzeń publiczności pozwalają nam bawić się tak, jak na komedii obyczajowej bawić się można.

Proszę mnie źle nie rozumieć. Ten felietonik nie głosi bezkrytycznej pochwały wspomnianych komedijek, głosi wyłącznie pochwałę rzemiosła, którego niedostatek tak mocno uderza w polskich filmach klasy B i C (nie mówiliśmy dziś bowiem o dziełach sztuki).



Rozwój współczesnej wrażliwości nowej bulgarskiej literatury nie jest pięknej jest nader skomplikowany. Nasze czasy wym.

Bułgarscy pisarze różnych pokoleń zwracają się ku tematowi współczesności. Powieści „Dwoje w nowym mieście” Kamena Kalezewa jest jakby echem głębokich rozważań zrodzonych po zdemaskowaniu kultu jed-

nym swym życiem, a i człowieka omawia się w powieściach Blagi Dymitrowej „Podróż ku słońcu”, Bogomila Rajnowa wychowawca może być tylko ten, który nosi w sobie światło szlachetności, miłość do ludzi, blask czystości duchowej i zdolność przekazywania go innym.

Duża część współczesnych pisarzy bulgarskich W „Niebie bez krzyżu” Ki-

mat śledzi z bliska moralno-intelektualne procesy, które dokonują się w życiu, dąży do odkrycia istotnych konfliktów dramatycznych w rzeczywistości. Jest to związane z poszukiwaniem nowych środków wyrazu, nowych rozwiązań kompozycyjnych, obrazowości, konfliktów dramatycznych, nowej koncepcji ideowo-estetycznej. We współczesnym dramacie powiłał wiatr twórczego niepokoju. Na scenie spotkali się pisarze różnych pokoleń, kierunków i stylów. Obok dramatów Kamena Żydrowa „Iwan Szymzan” i Dymitra Dymowa: „Kobiety z przeszłości”, „Od poczynków w Arcy-Irys” widnieją imiona Emila Manowa — „Sumienie”, Dragomira Asenowa — „Dzień urodzin” i „Róża dla doktora Szomowa”, poetów dramaturgów Georgi Dżagarowa, Iwana Pejezewa, Walerego Potrowa, Nikołaja Rusewa, Iwana Radoewa, Pyrwana Stefanowa, Dobry Zoltewa, Bożydara Bożyłowa i innych.

Krytyka teatralna wysoko oceniła sztukę Georgi Dżagarowa „Prokurator”, za którą otrzymał on Nagrodę Dymitrowską w 1966 r. Znikł już zewnętrzny konflikt dramatyczny między idealnym bohaterem pozytywnym a wrogiem, ustępując miejsca bohaterowi, który przeżywa konflikt w sobie, na trudnych drogach rozwoju swej świadomości, wyzwalając się od kanonów dogmatyki kultu.

Wielopostaciowość i bogactwo dzisiejszej bulgarskiej literatury pięknej jest owocem naszej współczesności — oto jak możemy głębiej określić najważniejsze zjawiska zachodzące w sztuce naszego kraju.

IWAN SARANDEW

Współczesna i artystyczna

W czasie kilku ostatnich lat pisarze bulgarscy przejawiają specjalne zainteresowanie problemami natury moralnej. W atmosferze społecznej i politycznej kraju nastąpiły głębokie przemiany historyczne. Tworzenie nowego oblicza etycznego współczesnego człowieka stanowiły wrotny proces historyczny, łączący się z jedną stroną z burzeniem, a z drugiej z pieloną miłością. W książce powieści „Człowiek w odkryciu” i „Gwiazdy nad nami” analizuje moralne konflikty współczesności i podstawy filozoficzne dzisiejszych czasów. Wiktor z „Gwiazdy nad nami” w einsteinow czasie matriarchatu. Mi-

W ostatniej swej powieści „W kwietniu”, piśta, o bohaterstwie, o szar porusza problemy pasjonujących dramatach związane z wychowaniem ludzkich. Ta podstawowa młodego pokolenia. Ca-

Notatki na MARGINESIE

Zdejmuje kapelusze przed Słowjenskimi! Wreszcie znalazł się człowiek — jak to nazwać? — uczciwy, odważny, może po prostu prawdziwym — tyżmu. 40.000 historycznych budynków, 2.500 zamków i fortec, 56 narodowych zabytków kultury o pierwszorzędnej wartości ogólnoludzkiej. Folklor. Sztuka ludowa. Tylko 8 dolarów dziennie. Wizy wydawane natychmiast, najpóźniej w 48 godzin, itd. itd.

Następna całostronica barwną reklamę. Czytam: „Jeśli spyta cię gdzie spędzasz urlop, czy tak jak i w ubiegłym roku, umiesz się już i powiedzieć, gdzie — ja odwiedzam Moskwę!

spotkać niejednego ewanika proponującego cenę za tysiąc złotych.

W Holiday — tym ekskluzywnym i (jakie piękne słowa!) „wiodącym” w skali światowej amerykańskim piśmie propagującym turystykę znajduję:

a) całostronicową barwną reklamę; Czytam: „Czechosłowacja, serce Europy, bogactwo skar- bów, gromadzonych od stuleci, powiew romantyzmu. 40.000 historycznych budynków, 2.500 zamków i fortec, 56 narodowych zabytków kultury o pierwszorzędnej wartości ogólnoludzkiej. Folklor. Sztuka ludowa. Tylko 8 dolarów dziennie. Wizy wydawane natychmiast, najpóźniej w 48 godzin, itd. itd.”

b) Następną całostronicową barwną reklamę. Czytam: „Jeśli spyta cię gdzie spędzasz urlop, czy tak jak i w ubiegłym roku, umiesz się już i powiedzieć, gdzie — ja odwiedzam Moskwę!

„Spójrz, co Rosjanie budują o 40 mil od granicy USA! ZSRR ma na dzieje, że Cię to zainteresuje: jak ludzie żyją w Mińsku, Władystoku?

W co ubierają się mój skwiczanki? Obejrzyj piękne zabytki sztuki wielu narodów, kino o 600 miejscach wyświetlających „no wale” radzieckich filmów. Zamówiono już 20 ton jesiotra, 8 ton kawiorku i 28.000 litrów wódki. To tylko na początek! Odwiedzaj więc Radziecki Pawilon na Expo 67 w Montrealu (Canada)... itd. itd.

Eksplodują turystycznej prasie naszych ustrojów pobratymców: Bułgarii i Rumunii, jest tak znana, że nie trzeba już o niej i pisać. A my?

Cóż — my też jesteśmy przygotowani coraz lepiej! Osobiście stwierdziłem, że w gospodzie ludowej w Uniejowie w tym sezonie smacznie flaczki, a w karczmie w Tumidaju znów można dostać białą kiełbasę.

„Skim” takim tonem, że nie, śmiało poszukiwana kolorystyczne i intelektualny niepokój — oto mal ze Izami wzruszającego bogactwa pa-

W co ubierają się mój skwiczanki? Obejrzyj piękne zabytki sztuki wielu narodów, kino o 600 miejscach wyświetlających „no wale” radzieckich filmów. Zamówiono już 20 ton jesiotra, 8 ton kawiorku i 28.000 litrów wódki. To tylko na początek! Odwiedzaj więc Radziecki Pawilon na Expo 67 w Montrealu (Canada)... itd. itd.

Eksplodują turystycznej prasie naszych ustrojów pobratymców: Bułgarii i Rumunii, jest tak znana, że nie trzeba już o niej i pisać. A my? Cóż — my też jesteśmy przygotowani coraz lepiej! Osobiście stwierdziłem, że w gospodzie ludowej w Uniejowie w tym sezonie smacznie flaczki, a w karczmie w Tumidaju znów można dostać białą kiełbasę.

„Observer” jest pisemem rzetelnym, nieskomplikowanym, angielskim oschłym. Tym bardziej musi cieszyć każdego z nas. W numerze z 2 kwietnia pisze o festiwalowym spektaklu „Chwałebnej Historii” o Zmarłychwstaniu Pań-

Nasz współczesny dramaturg.

Wielopostaciowość i bogactwo dzisiejszej bulgarskiej literatury pięknej jest owocem naszej współczesności — oto jak możemy głębiej określić najważniejsze zjawiska zachodzące w sztuce naszego kraju.

W ostatniej swej powieści „W kwietniu”, piśta, o bohaterstwie, o szar porusza problemy pasjonujących dramatach związane z wychowaniem ludzkich. Ta podstawowa młodego pokolenia. Ca-

„Wrażliwa wyobraźnia, śmiało poszukiwania kolorystyczne, intelektualny niepokój... itd. itd.”

Patrzę z zachwytem na zgotowaną pejzaz innego twórcy i notuję: „Wrażliwa wyobraźnia, śmiało poszukiwania kolorystyczne, intelektualny niepokój...” itd. itd. A oto plótto artysty jeszcze ze szkoły Strzebińskiego. Notuję: „Wrażliwa wyobraźnia, poszukiwania, intelektualny niepokój”. Ale żarty na bok. Łódź miała niegdyś piękne tradycje również i w dziedzinie nowatorskich teorii estetycznych. Rozbrzmiewała dyskusjami. A dziś zarówno bogate środowisko ZPAP jak i kadra naukowa PWSSP — tworzy w milczeniu. Więc co zrobić, by zamiast (często) ignorancji recenzji na łamach naszych pism zabrał głos na temat plastyki znawcy zagadnienia

W pewnym naszym centralnym piśmie kulturalnym natknąłem się na następujące zdanie recenzenta plastycznego. „Wrażliwa wyobraź-

WACŁAW BILIŃSKI

Polska fabryka w Addis Abebie

Jeżeli mieszkańiec Łodzi w połowie marca jest opalony, to albo przyjechał dopiero z Zakopanego, albo? Na przykład z Etiopii. Jak mędr TADEUSZ ORDYŃSKI, który właśnie wrócił z Addis Abeby. Co może zaprowadzić tam przedstawiciela

Centralnego Biura Technicznego Przemysłu Maszyn Włókienniczych? Jeśli jest jeszcze kierownikiem działu ekonomiczno-handlowego Biura Kompletowania Dostaw to bardzo interesujące sprawy. Biuro Kompletowania Dostaw przy CeTeBe istnieje od

dwóch lat i zajmuje się kompletowaniem maszyn oraz urządzeń włókienniczych dla kraju i zagranicą. Pierwsze zagraniczne transakcje przeprowadził w styczniu i lutym ubiegłego roku w Egipcie: tkalnica i przędzalnia dla Aleksandrii oraz tkalnica dla

Damlety — portowego miasta w północno-wschodnim Egipcie, w delcie Nilu, miasta o dość rozwiniętym jak na tamtejsze stosunki przemysłowym włókienniczym. Dziś są to już dostawy prawie całkowicie zrealizowane. Druga z kolei, a pierwszą poważniejszą transakcją tego typu była sprzedaż w czerwcu ubiegłego roku fabryki koców Addis Abebie oraz następne tkalnia i wykończalnia Kano w Nigerii.

Warto przy okazji wspomnieć, że tutaj, w Łodzi, szkoła się fachowcy afrykańscy dla budowanych przez nas fabryk. W zakładach produkujących maszyny włókiennicze oraz w zakładach przemysłu lekkiego zapoznają się z procesem produkcji tkanin bawełnianych. Jednocześnie od nas wyjeżdża zespół monterów, szkolących załogę na miejscu oraz specjalista-technolog, przez kilka miesięcy czuwający nad rozruchem technicznym maszyn i urządzeń.

Młoda jest w naszym kraju instytucja generalnego dostawcy, ale rozwija i umacnia się szybko, tak jak pomysłowo rozwija się ekspansja polskich maszyn włókienniczych na rynku afrykańskim. A nie jest to sprawa łatwa wobec ogromnej konkurencji ofert z całego niemal świata (tak samo zresztą jak w innych dziedzinach handlu). Maszyny włókiennicze sprzedaje tam Japonia, NRF i każdy, komu się uda. W przypadku krajów zachodnich są to często umowy wiązane — jeśli tak można powiedzieć. Na przykład Japonia wybudowała w Etiopii przędzalnię włókien sztucznych, uzależniając tę inwestycję od dostaw japońskich włókien dla tej fabryki.

Nasz generalny dostawca jest wprawdzie nastawiony na sprzedaż kompletnych urządzeń, ale współpracująca z nim centrala handlu zagranicznego „Metalexport” sprzedaje na tamtejszych rynkach również maszyny pojedyncze, lub poszczególne zestawy maszyn dla fabryk już istniejących. Jednym z odbiorców jest Spółka Indo-Etiopska, poważny właściciel fabryk włókienniczych.

„Dostawy” kompletnych urządzeń są formą przyszłościową tej dziedziny handlu i wymagają pewnej elastyczności w planowaniu. Na razie jednak życie generalnego dostawcy nie jest ustalone różami. W przemyśle maszyn włókienniczych tworzone są pewne rezerwy eksportowe, pozwalające szybko realizować zamówienia zagraniczne. Łódzka Wifama, Majed, czy zduńskowolska Fakroba to jednak nie wszystko. Całość dostawy uzależniona jest od zakładów kooperujących, zakładów produkujących czółenka, biegacze, wózki tran-

zystorowe, cewki i inne artykuły techniczne. A tam z rezerwami gorzej.

Życie przedstawicieli generalnego dostawcy, wyjeżdżających służbowo do Addis Abeby również nie jest ustalone różami. 13-dniowy pobyt nie pozwala na aklimatyzację, która na wysokości prawie dwóch i pół tysiąca metrów jest konieczna. Tak krótki pobyt wymaga też intensywnej pracy. Zajęcia od rana do późnego popołudnia, nawet w godzinach południowych, które tam są wolne od pracy. Mimo to jednak, to i owo można zaobserwować.

„Wskutek różnic klimatycznych roślinność Abisynii odznacza się wspaniałością i różnorodnością. Na wyżynach flora podalpejska, w dolinach zaś spotykamy sykomyry, adansonie, fikusy, tamarindy, bawełnę, drzewo oliwkowe, winną latorośl. Mieszkańcy uprawiają rośliny oleiste, ryż i kawę. Nadto z drzew owocowych: pomarańcze, cytryny itd.

Równie bogata jest fauna. Liczne są zwłaszcza gatunki gruboskórnych: słonie przebywające na wyżynach 2.500 m wysokości, nosorożce, hipopotamy, bawoty i dziki; nadto wielbłądy, kozy, osły, antylopy, żyrafy, szakale, hieny, lwy, tygrysy, koty, małpy, lisz, z płaczący orły, sokoly, kuropatwy, strusie. Z ptaków: krokodyle i węże. W rzekach obfitość ryb”. (Encyklopedia Orgelbranda, rok 1898).

Z dzikich zwierząt niewiele już pozostało. Ja spotkałem jednego krokodyla. W Sodare oddalonym o 120 km od Addis Abeby znajduje się basen zbudowany na gorących źródłach. Temperatura wody wynosi 35—40 stopni. Tuż obok przepływa rzeka o typowo afrykańskiej, żółtej, obrzydliwej wodzie. Po drugiej stronie rzeki wyrzyna się na piasku właśnie ów krokodyl — jedyny przedstawiciel słynnej niegdyś etiopskiej fauny, którego udało mi się zobaczyć. Wobec tego, że robił sobie wyściełki do basenu, kąpielisko trzeba było ogrodzić.

„Abisynia wskutek wieloletniej i handlu niewolnikami, dostarczającego kołmet z krajów różnych, utraciła swój typ pierwotny tak dalece, iż dziś nie posiada narodowego charakteru o cechach odrębnych. Tak zwani Abisynczycy, czyli Etiopowie cechują się rysami twarzy rasy kaukaskiej, mają włosy gładkie i czarne, lecz kolor skóry rozmaity”. (Orgelbrand, 1898).

Etiopczycy odznaczają się dużą urodą, także mężczyźni, ale kobiety są nieprzeciętnie piękne i urodę zachowują dość długo. Mają też wiele godności i ambicji. Mimo biedy (na ulicach roi się od handlarzy i pucybutów), nie spotyka się tam żebraków.

Addis Abeba jest miastem kontrastów. Piękne i okazałe budynki urzędów państwo-

wych na tle nędznych lepianek, bud z desek i blachy, w których mieszka uboga ludność miejska. Szczególnie ciężka jest sytuacja kobiet. Trudno im znaleźć zajęcie, w półmilionowej stolicy niewiele kobiet znajduje zatrudnienie w zakładach przemysłu lekkiego. Stąd prawdopodobnie na tę liczbę mieszkańców 40 tysięcy zarejestrowanych a 100 tysięcy faktycznie istniejących prostytutek. Mnóstwo domów publicznych. Ich znakiem jest kolorowy neon, na niektórych domach widnieją po kilka. We wszystkich większych lokalach spotyka się dziewczęta czekające na klientów. I chociaż nie jest to celem właścicieli wielkich fabryk, rozwijający się przemysł włókienniczy przyniesie na pewno poprawę sytuacji kobiet.

Notabene w 20 zakładach włókienniczych istniejących w Etiopii (należą one do 26 właścicieli, w tym tylko 6 Etiopczyków) pracuje około 15 tysięcy robotników, a wśród nich 7 tys. mężczyzn i 8 tys. kobiet.

„Na terenie Etiopii znajdują się tylko 2 linie kolejowe: Addis Abeba — Dżibuti (754 km) oraz Mas-sua — Agordat (307 km); planowana jest budowa linii kolejowej Dire Dawa — Assab. Długość dróg kolejowych, wykorzystywanych przez okręgi całego kraju, wynosi 5.490 km (w tym 1.370 km asfaltowych), długość dróg gruntowych wykorzystywanych tylko w porze suchej — 80 tys. km. W 1960 r. w Etiopii było 15,2 tys. samochodów osobowych, 8,8 tys. ciężarowych. W wielu okolicach jedynym środkiem transportu są zwierzęta juczne”. (Wielka Encyklopedia Powszechna PWN, 1964).

Od 1964 r. na pewno znacznie samochodów przybyło. W gruncie rzeczy to jedyny środek komunikacji. Autostrady są tam zresztą świetne. Wiele szos zbudowali Włosi, na budowę dalszych dali pożyczkę Amerykanie. Ale niebezpieczeństwem tych dróg są zwierzęta, głównie owce i krowy, które niespodziewanie wychodzą z okolicznych pól.

Oddzielny rozdział w Etiopii to Hajle Sellasje, od 1928 r. negusa nagast, czyli cesarz. Narod etiopski darzy go wielkim przywiązaniem i miłością. Cesarz zapoczątkował zniesienie niewolnictwa w 1923 r., cesarz stanął na czele narodu w walce przeciw wioskowemu faszystomowi w 1935 r., cesarz przeprowadził wiele reform społecznych, ekonomicznych, cesarz jest współtwórcą Organizacji Jedności Afrykańskiej. Narod żyje w obawie przed śmiercią cesarza, widząc w jego polityce wewnętrznej i zagranicznej gwarancję wywyższenia się z zacofania społecznego i ekonomicznego.

Notowała: TERESA WOJCIECHOWSKA



* PRZECZYTAJ W TRAMWAJU * PRZECZYTAJ W POCIAGU * PRZECZYTAJ U DENTYSTY *



Lewym okiem

Z RĘKA W KIESZENI

Nie cierpię ludzi bardzo pewnych siebie, takich co to uważają, że jak się posmaruje, to wszystko wszędzie można w naszym kraju załatwić. Nie cierpię ich tym bardziej, że — niestety — mają rację; a tak bym chciał, żeby nie mieli, żeby wreszcie nadziali się na prawdziwe, rzetelne zasady i warunki, którym trzeba rzetelnie sprostać, a nie sięgnąć chamskim gestem do kieszeni i zapłacić jeszcze jedno myto.

Z tych samych powodów z niesmakiem oglądałem przed paroma laty słynny film „W osiemdziesiąt dni dookoła świata”. Bohater tego filmu zabral ze sobą po prostu worek złota i piacił. Nie potrzebował ani błyskać inteligencją, ani brawurą, ani chytrnością. Płacił — i wszystkie przeszkody, padły płackiem. Film był prawdziwą manifestacją amerykańskich idealistów, natomiast nie był odzwierciedleniem powieści Jules Verne'a.

Felietoniści, podróżujący po Zachodzie, mówią chętnie o tym, jak często trzeba trzymać się z kieszeń w takim na przykład Paryżu. Pourboir jest to uświęconym zwyczajem, daje się wóz-

nemu, windziarzowi, szatniarzowi, gazeciarzowi, daje się za wszystko, niezależnie od ewentualnych płatnych kart wstępu i ustalonych cen. Chciałbym przeczytać parę felietonów Francuzów, wracających do Paryża znad Wisły.

Istnieje może mała odmiana łapownictwa typowo rodzimego, oczywiście kulturowanego obok i oprócz zwykłych, klasycznych kubanów. Mianowicie płaci się za przekraczanie przepisów, płaci się tak masowo i bez żenady, aż człowiekowi wreszcie nachodzi myśl, czy nie stworzono przepisu po to, żeby jego przekroczenie stało się źródłem czyjegoś dochodu.

Do szpitala w dniach odwiedzin nie wolno wejść bez przepustki. Stoi więc w drzwiach woźny ze szczypani do dziurkowania przepustek w jednej ręce, drugą trzyma odpowiednio zgiętą, jak gniazdko, do którego nieprzerwanym strumieniem płyną dwa- i pięciozłotówki. W takie dni w szpitalu w ogóle nie widać chorych spoza tłumy odwiedzających. Krewni obsiadają łóżka, grają w karty, jedzą bigos i rosół, zapijają śmietankę wraz z pacjentem żubróweczką.

W pozostałe dni chorych w ogóle odwiedzać nie można. W bocznym wejściu stoi więc inny woźny z donią zgiętą jak gniazdko, i też wszyscy widzą i wiedzą, że po wszystkich salach snują się żony, koleżdy, dzieci pacjentów.

Nie wolno wchodzić w palcie. Portier przypomina o tym każdemu wchodzącemu, wyciągając jednocześnie rękę. Całe steryły palt leżą na łóżkach pacjentów. Wszyscy to widzą i wiedzą.

W kinach i teatrach wiszą tabliczki, że po rozpoczęciu przedstawienia nikt na salę wpuścić

nie będzie. Pilnuje tego biletarka, która też ma dzieci na utrzymaniu i pensję, nie wystarczającą do pierwszego. Można by takich przykładów mnożyć bardzo wiele, wszyscy je zresztą znamy. Oczywiście, nie są to afery łapówkowe, kwalifikujące się od razu pod jakiś tam paragraf. To byłby inny temat, kryminalny. A nam chodzi nie o paragraf i kryminał, tylko o szerzące się jak zaraza brzydkie zjawisko obyczajowe.

Bardzo podobnym zjawiskiem jest jeszcze inna odmiana tej samej miłości złotego: sprzedawanie rzeczy i usług niesprzedających. Tak to trzeba zwyczajnie nazwać: kelner sprzedaje miejsce przy stoliku, chociaż nikt go do tego nie upoważnił i chociaż nie daje za to pokwitowania. Ktoś inny sprzedaje miejsce w wylocie zagranicznej, spod lady, tylnym wejściem. Szofer sprzedaje prawo korzystania ze swej taksówki, niezależnie od taksy. Sprzedawczyni w sklepie każe sobie osobno płacić za to, że w ogóle powie co ma w sklepie do sprzedania. Gdzie indziej, ktoś sprzedaje prawo do zapisanie się w kolejce do lekarza lub dentysty, prawo wejścia przez drzwi zastrzeżone dla personelu, miejsce siedzące w wagonie kolejowym — i tak na każdym kroku. Jeszcze trochę, a będziemy płacić za wyjście na ulicę i za wejście z powrotem do domu. No bo jeśli chcesz wyjść — to znaczy odczuwasz potrzebę wyjścia. A ona może kolidować z potrzebą cwaniaka, który musi stać w drzwiach. Za to, że ze swego stanowiska na moment zrezygnuje, należy mu się odškodowanie. Dokładnie tak, jak głosili klasycy kapitalizmu.

Czyli okazuje się, że naród myśli ekonomicznie. Być może.

Redaguje zespół: Halina Bekowa (redaktor techniczny), Wacław Biliński (redaktor naczelny), Konrad Frejdlch, Jan Koprowski (kierownik działu kulturalnego), Andrzej Mąkowiecki, Ewa Siemińska, Włodzisław Stokowski (z-ca redaktora naczelnego i sekretarz redakcji), Teresa Wojciechowska. Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa” w Łodzi. Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 96. Tel. 244-79. Warunki prenumeraty: miesięcznie 4 zł; kwartalnie 12 zł. Redakcja nie zamawia reprintsów, nie zwraca. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPIK „Ruch” — z zaznaczeniem na „Ogłoszy”. Druk Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa” — Łódź, Zwirki 17. Zam. 1125. IV. 1987 r. O-10.